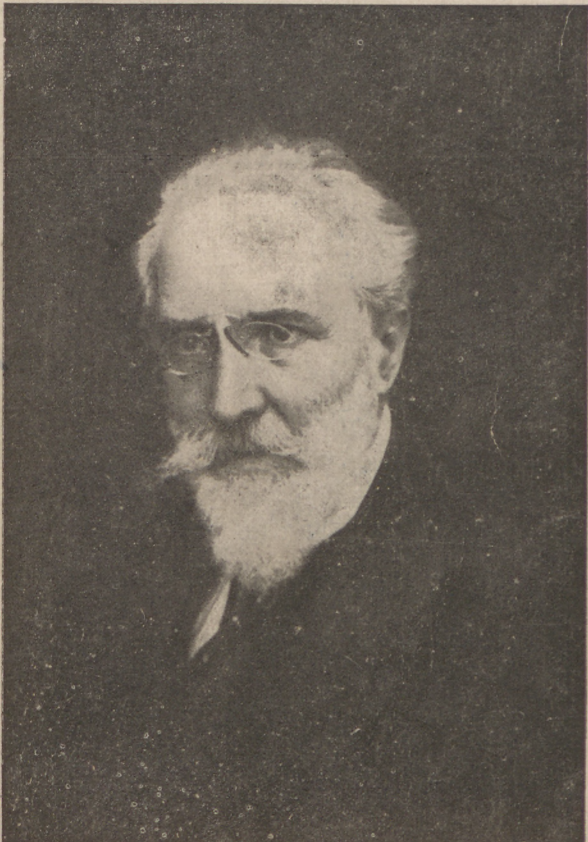
TADEUSZ RUTOWSKI

3. września 1914 — 20. czerwca 1915.



NAPISAŁ

DR. STANISŁAW ŁEMPICKI.

LWÓW — 1917.

Staraniem Biura Prasowego Depart. Wojsk. N. K. N. we Lwowie.

Dr. STANISŁAW ŁEMPICKI.

TADEUSZ RUTOWSKI

3. września 1914 — 20. czerwca 1915.

WE LWOWIE — 1917.
DRUKIEM JÓZEFA CHĘCIŃSKIEGO, UL. LEONA SAPIEHY 77.

WSTĘP.

(Kampian. — Groswajer. — Zimorowicz. — Rutowski).

Kiedy z końcem roku 1623. poczęła szaleć we Lwowie morowa zaraza, jakiej do owych czasów prawie nie oglądano, a wraz z nią straszne widma głodu i drożyzny zaglądnęły do stolicy, — opustoszało miasto, ludność bogatsza zbiegła w góry i tylko „biedactwo" lub ludzie przykuci do ziemi pozostali na miejscu. Wtedy to, w tych okropnych dniach, kiedy — jak piszą kroniki — grabarze upadali ze znużenia, niby anioł opiekuńczy trwa niezłomnie na posterunku jeden jedyny człowiek, niezmordowany i żelaznego hartu ducha, lekarz lwowski, M a r c i n K a m p i a n. On to, otrzymawszy od uciekających rajców wprost nieograniczoną władzę dyktatora, od świtu do zmroku pracował z nadludzką wytrwałością, leczył, wspomagał, pocieszał i rzec można, rodzinne swe miasto od niechybnej ocalił zagłady. Był to niewątpliwie: civis magnus, wielki obywatel.

Kiedy w 25. lat później, w kwietniu 1648 r., po klęskach żółtowódzkiej i korsuńskiej, po wzięciu hetmanów, po sromie piławieckim, srogi Chmiel z krociami tysięcy czerni kozackiej i tatarskiej pod-

stępował pod Lwów, — ucieka w popłochu patrycyat miejski, wszyscy co dostojniejsi obywatele, a książę Wiśniowiecki opuszcza nocą powierzone mu miasto, uwożąc ze sobą grube skarby i pieniądze, złożone w jego ręce na obronę grodu. Wówczas niby drugi Kampian, ostaje się na stanowisku rycerski rajca, Marcin Groswajer i przy pomocy artyleryi Arciszewskiego broni murów miasta tak długo, aż najeźdźca, chwyciwszy pożądany okup, nie ruszył dalej wśród wrzasków dzikiej swej gromady.

I jeszcze po raz trzeci w owem stuleciu dała Opatrzność Lwowu wielkiego ratownika i salwatora w czarnych dniach grożącej zaguby. Oto gdy gwałtowna nawałnica nadciągała znowu z pomrukiem od strony wiecznie niespokojnego Wschodu, gdy w wrześniu 1672 r. nieprzeliczone zastępy Turków, Tatarów i Kozaków szły na naszą stolicę, siejąc popłoch w lękliwych duszach Lwowian, natenczas ocala miasto Józef Bartłomiej Zimorowicz. Srebrnowłosy, siedmdziesięciopięcioletni starzec znajduje w sercu swem więcej młodzieńczej odwagi i mocy, niż niejeden prawdziwy młodzieniec, zamyka bramy grodu, z Eliaszem Łąckim opatruje mury, uzbraja cechy i przez cały tydzień kieruje bohaterską obroną przeciw szalonej przewadze oblęgających, dopóki rozejm i okup nie wyzwolił wyczerpanego miasta.

W rzędzie Kampianów, Groswajerów, Łąckich, Zimorowiczów, staje dziś nowy opiekun i zbawca tego samego miasta, „civis magnus", Tadeusz Rutowski. Obok tamtych imion, wyrytych twardym rylcem niewzruszonej wdzięczności współobywateli w spiżowej księdze dziejów naszego miasta błyszczy dzisiaj imię męża

o rycerskim duchu i wielkiem, czystem, współczującem sercu. Tadeusz Rutowski w latach 1914. i 1915. jak Marcin Groswajer, wytrwał na stanowisku, gdy inni uważali za dopuszczalne i stosowne opuścić posterunek i miasto, jak Zimorowicz i Łącki był puklerzem twardym, obrończym przeciwko zakusom i uderzeniom potężniejszego od tamtych najeźdźcy, jak Kampian wreszcie czułą ręką lekarza dotykał ran społeczeństwa, goił je, bezdomnych chronił, nagich odziewał, łaknącym podawał strawę.

A kiedy tamci trzej jego poprzednicy z ducha i urzędu, szczęśliwie przetrwali okropne czasy moru i wojny, rychło zbierając owoce swego znoju, On porwany przez wroga z ukochanego miasta, wyruszył, śladami tylu wielkich w narodzie, na północ, na długie dni rozłąki i tęsknoty.

* * *

Syn żołnierza z r. 1831 i posła na sejm konstytucyjny austryacki z r. 1848, dziedziczy Tadeusz Rutowski po ojcu, jednym z pierwszych pionierów demokracyi polskiej w Galicyi, gorące dążności patryotyczne i demokratyczne. Po ukończeniu uniwersytetu w Krakowie i w Bonn, podróżuje po Europie; z ruin Grecyi i z galeryj paryskich wynosi zachwyt i zrozumienie dla sztuki i jej wieczystych przejawów, z wędrówek po Polsce myślowe i uczuciowe uzasadnienie swego patryotyzmu. W każdym calu Europejczyk, z ogromną kulturą umysłową, z fantazyą i zapałem urodzonego publicysty, rozpoczyna karyerę polityczną na łamach krakowskiej „Reformy", później „Nowej Reformy", organu Demokracyi Polskiej, wspólnie z takimi mężami, jak Tadeusz Romanowicz, Adam Asnyk, Mieczysław

Pawlikowski... Jako ekonomista, dziennikarz - polityk, pisarz niezwykłej werwy i temperamentu, wnet zbiera pierwsze laury, głębokie zyskuje uznanie.

Niebawem też stawia Rutowski pierwsze kroki na arenie parlamentarnej i sejmowej. Wszedł do Sejmu krajowego w roku 1889, do Rady państwa o rok wcześniej: 1888. Z początku wybierała go kurya wielkiej własności ziemskiej obwodu Tarnowskiego, później miasto Tarnów, a wkońcu miasto Lwów. W piastowaniu mandatów poselskich, tak do Sejmu, jak i do Rady państwa, miał przerwy, ponieważ zawsze musiał o nie staczać twarde walki wyborcze. Należał stale do stronnictw demokratycznych i postępowych, — lecz przy każdej sposobności zastrzegał się z całym naciskiem, iż jako Polak dbać musi przedewszystkiem o interes narodowy — i że przeto nigdy nie poświęciłby interesu narodowego dla doktryny partyjnej. Potępiał też i zwalczał z całym ogniem swojego temperamentu, pełnego energii, wszelkie stronnictwa, które politykę narodową podporządkowywać chciały swojej polityce partyjnej. A gdy polemikę chętnie podejmował i argumentował dobitnie i dosadnie, chociaż w wytwornej formie, dlatego w obozach, które zwalczał, miał przeciwników zawziętych.

Bądź jako wnioskodawca, lub jako referent komisyjny albo wreszcie jako debater cięty, zawsze gotów do odparcia zdań przeciwnych, zawsze zaopatrzony w obfity zapas argumentów, przygotowanych przez pracowite studya, podróże i rozległe oczytanie, zajmował się Rutowski jako parlamentarzysta z szczególnem zamiłowaniem takiemi sprawami, które wymagają specyalnych wiadomości, fachowych studyów. Nie przemawiał nigdy ogólnikami, ale wnikał w rzecz głęboko, określając cel, do jakiego zmierza zawsze stanowczo i dobitnie, zwykle dość ostro atakując przeciwników.

W początkach zawodu parlamentarnego interesował się przeważnie sprawami agrarnemi; później rozszerzył zakres swoich prac, trzymając się jednak głównie dziedziny ekonomicznej.

Oto szereg ważniejszych przedmiotów, które poseł Rutowski objął swoimi wnioskami i referatami parlamentarnymi, bądź w Sejmie, bądź w Radzie państwa:

Wprowadzenie w kraju naszym cukrownictwa;

popieranie gorzelnictwa;

zaprowadzenie przymusowej asekuracyi ogniowej, jakoteż obowiązkowego zabezpieczenia hodowców bydła od szkód z powodu zaraźliwych chorób bydlęcych;

rozwój fachowego szkolnictwa rolniczego;

podniesienie gospodarstwa nabiałowego;

komasacya i dzielenie gruntów wspólnie używanych;

podniesienie hodowli bydła rogatego;

melioracye gruntowe i budowle wodne.

W zakresie spraw szkolnych zajmował się szczególniej zawodowem szkolnictwem przemysłowem, był stałym referentem rubryki budżetu, tyczącej się tego przedmiotu. Opiekował się troskliwie rozwojem wieczornych szkół dla terminatorów, t. z. „szkół przemysłowych uzupełniających“, które wychowują postępowych rzemieślników.

Sprawy powyżej wymienione podnosił Rutowski zwykle na parę lat wcześniej, zanim one weszły oficyalnie w program stały działalności Sejmu. Był on pionierem, zdobywającym dla tych

prac drogę wstępu do Sejmu. Tak samo n. p. poruszył Rutowski sprawę budowy dróg wodnych w Galicyi już w r. 1892, na ośm lat przedtem, zanim ona powszechnie uznaną została za postulat kraju.

Wiele pracował też nad sprawami, tyczącemi się regulacyi rzek i dopominał się wytrwale o ujęcie w program systematyczny postępowania w tym względzie.

Rutowski był inicyatorem i referentem ustawy krajowej, regulującej stosunki zdrojowisk i uzdrowisk klimatycznych i współdziałał gorliwie w sprawie organizacyi służby zdrowia w powiatach i gminach.

Dbał o ochronę przemysłu — zwłaszcza przemysłu domowego od szykan podatkowych, i był wnioskodawcą ustawy, przyznającej uwolnienie na lat 10 od dodatków do podatków nowych przedsiębiorstw przemysłowych, które wprowadzają w naszym kraju produkcyę wyrobów fabrycznych, przedtem u nas niewyrabianych.

W rozprawach nad sprawami tyczącemi się szkolnictwa i wogóle rozwoju kultury w naszym kraju, brał zawsze gorący udział. Wychodząc z przekonania, iż polepszenie bytu materyalnego nauczycielstwa ludowego może najskuteczniej wpłynąć na polepszenie materyału w ludziach, garnącego się do tego zawodu, popierał konsekwentnie wszelkie wnioski, zmierzające do podwyższenia płac nauczycielstwa. Popierał też sprawę internatów dla kandydatów do stanu nauczycielskiego przy seminaryach, ażeby ta młodzież, pochodząca najczęściej z klas ubogich, nie potrzebowała brukać się po zaułkowych „stancyach“.

Wspólnie z prof. Drem Tadeuszem Pilatem dał w r. 1892 impuls do rozpraw — niejednokrotnie potem bez skutku wznawianych w Sejmie, — nad sprawą reformy gminy wiejskiej w tym kierunku, ażeby w jej zarząd wprowadzić obok elementu chłopskiego, także żywioł inteligencyi.

W sprawie reformy wyborczej w sejmie i w Radzie państwa brał przez długie lata zawsze udział gorący, walcząc z zapałem o rozszerzenie praw obywatelskich na szerokie sfery — zawsze jednak bacząc na to, ażeby nie utopić narodowo uświadomionych czynników społecznych w niedojrzałych jeszcze masach.

Jako mowca i polityk czarował wszystkich porywającą wymową, świetną retoryką form krasomówczych, znajomością języków, pierwszorzędnemi manierami towarzyskiemi, ujmującą słodyczą obejścia.

Działał zawsze w imię wielkich idei i haseł, dla jednej wielkiej Sprawy. A choć mu niejednokrotnie rzucano pod nogi kamienie, nie zszedł z raz obranej drogi, nie uciekał się do wygodnego pośrednictwa kompromisów.

Kiedy rok 1901. przyniósł tryumf przeciwników Rutowskiego t. j. upadek jego przy wyborach do Rady Państwa w Tarnowie, nie traci on ducha, młodzieńczej przedsiębiorczości, jednakiej zawsze gotowości służenia Polsce i krajowi. Zakłada z Szczepanowskim, Romanowiczem, Wit. Lewickim, dawne „Słowo Polskie“ we Lwowie, pracuje w Wydziale krajowym, jako jeden z najwybitniejszych referentów, wchodzi do Rady miejskiej, gdzie niebawem zyskuje poważne stanowisko. A potem już idzie pełna wielkich zasług i starań o miasto wiceprezydencka epoka Rutowskiego, w której zwłaszcza usiłowania około kulturalnego podniesienia stolicy, uczynienia ze Lwowa — ożywczego siedliska euro-

pejskiej kultury, najdalej na wschód wysuniętej placówki polskiego ducha i polskiego ruchu umysłowego, zapisały się złotemi literami.

Założenie „Towarzystwa miłośników przeszłości Lwowa", publikującego w swojej cennej „Bibliotece" szereg monografii historycznych o Lwowie, osobiste redagowanie prześlicznej „Sztuki"; wzniesienie wspaniałego gmachu „Muzeum Przemysłowego", powołanie do życia wśród trudów i walk „Miejskiej Galeryi obrazów", zakupno „kamienicy króla Jana" w Rynku i stworzenie w niej „Muzeum im. Sobieskiego"; zakupno zbiorów Wł. Łozińskiego, nabycie ogromnego domu przy ul. Hetmańskiej, na miejscu którego ma stanąć lwowski „Pałac sztuki", opieka nad zabytkami, towarzystwami kulturalnemi polskiemi, wszelkim rozwijającym się przejawem polskiego życia, — oto najwybitniejsze czyny jego na tem polu, dające miarę dalekosiężnych dążności Rutowskiego. Choć siwizną okryty, przecież zawsze tak młody myślą i sercem, jak w chwili pasowania swego na polityka, nie przestał być nigdy ten „stary demokrata" jednym z najdzielniejszych i najczcigodniejszych obywateli miasta.

I.

W chwilach przełomu.

(Ogólny nastrój Lwowa. — Wystąpienie Rutowskiego. — Akcya uspokajająca: Straż Obywatelska, odezwy, dbałość o normalny bieg życia, czuwanie. — 3. września 1914. — Zajęcie stanowiska wobec wroga).

Niema chyba nikogo wśród mieszkańców Lwowa, którzy przebyli inwazyę moskiewską, komuby nie stały jak żywe przed oczyma pełne osobliwej grozy dni, bezpośrednio wyprzedzające zajęcie miasta. Rozstrzygające bitwy przynoszą chwilowe zwycięstwo Rosyi. Armia austryacka cofa się. Ewakuacya Lwowa staje się strategiczną koniecznością. Wyjeżdżają władze wojskowe i cywilne, pakują się banki. Szał uchodźczy ogarnia ludność, blady Strach przechadza się po ulicach, niecąc popłoch i trwogę. Dworzec kolejowy zawalony tłumami, ścisk nie do opisania, tak, że, zdaje się, bez narażenia życia wyjeżdżać niepodobna. Mimo to, dziesiątki tysięcy chcą jechać; rzucają znaczne majątki nieruchome i wszelki inny dobytek, zostawiają najdroższe pamiątki, nawet rodziny, byle „unieść za granice głowy". W tumanach kurzu, w niesamowity, straszny poniedziałek 31. sierpnia 1914., pędzą wylękłe gromady pieszo i końmi, jak kto może, z pakunkami, tobołami, na kolej; istny dzień sądu ostatecznego! Lwów stał się nieprzytomny, na oślep gnał w histerycznym strachu przed „oswobodzicielem Słowiańszczyzny". Pozostała ludność i ci, co uciec nie zdołali z powodu przepełnienia, kryją się po domach, oczekując lada chwila inwazyi.

Wtorek (1. września) przynosi chwilowe uspokojenie, jakby blady uśmiech po przesileniu w ciężkiej chorobie. W środę nad wieczorem alarm, odwrót armii, reszta wojska odjeżdża, lotnicy rosyjscy szybują tuż ponad miastem. Ulice wymarły, jak w czas zarazy, sklepy, kawiarnie, nawet bramy kamienic pozamykane. Ludność wiesza na domach wielkie barwne obrazy Bogarodzicy, stawia je za oknami, nalepia na drzwiach, zabezpieczając się, jak czyniono w Egipcie biblijnym, gdy Anioł śmierci miał iść mimo domów i zabijać.

W takich to chwilach zupełnej dezoryentacyi, gdy miastu zagrażać mogło wszystko co najgorsze, gdy, zda się, moce piekielne sprzysięgły się na jego zagładę: nieprzyjaciel, męty domowe i głód, — występuje na widownię Tadeusz Rutowski. Po tylu, tylu latach, znalazł się, już biały starzec, na odpowiedniem dla siebie, górującem stanowisku i odrazu pokazał, na co go stać teraz i na co go stać było zawsze.

Wobec wyjazdu prezydenta miasta, objęli 31. sierpnia 1914. rządy stolicy trzej jego zastępcy, wiceprezydenci Rutowski, Dr. Stahl i Dr. Schleicher, a pierwszy z nich, stanął u steru i chwycił zań rozumnie i energicznie, aby skołataną i zagrożoną nawę drogiego sobie grodu poprowadzić, wedle sił swoich, pomyślnie po nieprzebytych mieliznach.

Pierwszem jego piekącem zadaniem było położyć tamę popłochowi i ogólnemu wystraszeniu, powstrzymać rozprzężenie. To też organizuje natychmiast już poprzednio projektowaną Straż Obywatelską, złożoną z inteligentnych mieszkańców Lwowa, różnych stanów i zawodów. Pierwsze jej placówki, z dobrze znanemi czerwono - niebieskiemi przepaskami na ramieniu, pojawiają się na ulicach miasta już w ów pamiętny poniedziałek paniki (31. sierpnia) i wszędzie znajdują posłuch. W najbliższych dniach liczba i działalność Straży się wzmaga, jej biura dzielnicowe i rejonowe przyjmują coraz to nowe zgłoszenia. Dzięki właśnie usiłowaniom członków Straży spełnia się gorące pragnienie Rutowskiego: przywrócenia miastu odrazu, choćby w małej części, normalnych funkcyi życia i normalnego wyglądu, naturalnie w granicach możliwości, a zarazem uchronienia go, w razie wkroczenia wojsk rosyjskich, od nieprzewidzianej katastrofy. Do tego samego zmierzały też odezwy Prezydyum, pojawiające się od 1. września na ulicach Lwowa. „Obywatele! Wobec nadchodzących wypadków wzywamy Was do największego spokoju i rozwagi, od tego bowiem zależy zdrowie i mienie mieszkańców. Na wypadek wkroczenia armii rosyjskiej zachowajcie się z godnością i zupełnym spokojem. Na Boga Was zaklinamy, ażeby nie było żadnych prowokacyj“. Męty wielkomiejskie, rozzuchwalone brakiem dozoru, i włóczące się, zdecydowane na wszystko kupy maruderów — nie odważyły się na żadne nadużycie jaskrawe, na żaden wybryk na większą skalę; kradzieże i rabunki, zdarzające się tu i ówdzie po opuszczonych magazynach wojskowych i mieszkaniach, ataki na pozamykane z rozkazu Prezydenta szynki i składy alkoholu potrafiła Straż obywatelska przy pomocy publiczności zlokalizować i stłumić.

Nakazuje także Rutowski otworzyć sklepy i przedsiębiorstwa zarobkowe, nie paraliżować handlu i targu codziennego; co więcej, dla nadania obliczu miasta spokojnego wyrazu każe puścić na miasto wstrzymane chwilowo wozy tramwajowe, choć mało kto z publiczności z ich usług korzystał, każe rzęsiściej oświetlać wieczorem ulice. Magistrat urzęduje bez przerwy, Prezydent przestrzega pilnie dyżurów nocnych, sam czuwa ustawicznie, nie sypiając, chcąc wiedzieć o wszystkiem i wszelkiemu złemu w czas zapobiedz. Również Rada miejska postanawia trwać w permanencyi, zbierać się codziennie dwa razy, wydaje szereg uchwał, dotyczących bezpieczeństwa, porządku

i hygieny w mieście, powołuje cały personal urzędniczy do pracy.

Tymczasem bieg wypadków dziejowych się przewalał. Poddanie miasta stało się faktem. 2 września wieczór mówiono o tem powszechnie, Prezydyum naradzało się z Radą miejską, biskupami, wybitniejszemi osobistościami; na niektórych budynkach poczęły się nawet zjawiać białe chorągwie pardonu. Lecz mimo to, trudno jakoś było uwierzyć w rzeczywistość. Dlatego też do głębi przejmującą niespodzianką dla większości Lwowian była odezwa Prezydyum, którą we czwartek (3. września) rano wyczytano najpierw w pismach, a niebawem na murach miasta. „Obywatele! Wojska monarchii mają cofnąć się na zachód. Za chwilę wkroczą do Lwowa zwycięskie wojska rosyjskie. W takiej chwili wzywamy całą ludność miasta, aby — przez Boga! — zachowała g o d n o ś ć, spokój, wystrzegała się popłochu, wybryków nierozważnych, czy złych żywiołów i wszelkiej prowokacyi... Cała poważna ludność oczekuje wypadków ze spokojem. Wszelki wybryk nierozważnej, czy szalonej jednostki przeciw wkraczającemu wojsku mógłby wywołać nieszczęścia. Wzywamy ludność, aby czuwała w imię dobra miasta i wszystkich obywateli nad spokojem i ładem w mieście“. Autorem tej odezwy, jak i innych, był sam Rutowski; on to przemawiał z głębi serca d o g o d n o ś c i Polaków, akcentował konieczność spokoju i powagi narodowej w tej przełomowej chwili.

Ta sama ś w i a d o m a s i e b i e, w y s o k a g o d n o ś ć P o l a k a manifestowała się też w każdem ówczesnem wystąpieniu Rutowskiego. Zawsze umiał zachować niewzruszony spokój i prawdziwie

senatorski majestat. Jeden z adjutantów generała, zajmującego Lwów, który miał sposobność zaraz w pierwszych momentach po wkroczeniu patroli rozmawiać z Prezydentem, wzywając go do powitania swego wodza, opowiadał później, że dostojna, biała postać Rutowskiego wywarła na nim wprost piorunujące wrażenie. Włodarz wziętego „w plen“



PREZYDENT RUTOWSKI
na rogatce łyczakowskiej rozmawia z generałem von Rohde.

miasta — onieśmielał zwycięzców. Z jakąż powagą, z m u s z o n y s t a n o w c z y m r o z k a z e m, stawia się na rogatce Łyczakowskiej przed generał-lejtnantem von Rohde, z którym układa się o warunki okupacyi miasta, z jakimż wspaniałym gestem lekceważenia własnej osoby zgłasza się na-

tychmiast dobrowolnie na zakładnika. Ofiary tej jednak Rada miejska nie przyjęła. Albo czyż nie miał głębszego znaczenia ten uśmiech i dobra mina, jaką pokazywał zwycięzcom, obwożąc świetnych generałów rosyjskich po polskim Lwowie, — choć serce mu się krajało z bólu. Chciał zaznaczyć, żeśmy nie z tych, co zaraz upadają na duchu, że odważnie patrzymy w naszą przyszłość, gotowi na wszystko, że się wreszcie czujemy gospodarzami w tem mieście.

Stanowisko Rutowskiego wobec nowych panów stolicy było odrazu zdecydowane: grzeczne, pełne wytwornego obejścia, ale konsekwentne, nacechowane poczuciem godności i odpowiedzialności wobec narodu i państwa, a pod tym względem stanowcze za każdą cenę, rzekłbym, nieustępliwe. Gładkością, manierami ujmował sobie wyższych, imponował niższym, konsekwencyą i stanowczą powagą zyskiwał szacunek i powolność. Dostojne „exterieur“ także wywierało swój wpływ dodatni. Ileż to razy wpadał do gabinetu Prezydenta rozjuszony oficer moskiewski, a wychodził stamtąd udobruchany, powolny życzeniom Rutowskiego, „wzięty za łeb“ wyniosłą jego słodyczą. Takim typowym przykładem umiejętności podbijania ludzi, co więcej kierowania nimi, był stosunek Prezydenta do wojennego Gubernatora Lwowa w początkach i ostatnich dniach okupacyi, hr. Sergiusza Szeremetjewa. Wykwintny ten arystokrata, jeden z nielicznych prawdziwych gentelmanów rosyjskich, umiał szybko poznać się na kryształowym charakterze i wysokiej kulturze Rutowskiego; to też jego zrazu zbyt dumny, lekceważący gest zwycięzcy — autokraty ustępuje miejsca szacunkowi,

podziwowi i pełnemu zaufaniu w rozum i uczciwość Prezydenta, z którego życzeniami starał się zawsze hr. Szeremetjew liczyć. A przecież Rutowski i wobec niego w swoich przekonaniach zawsze był bezwzględnie stały, zawsze akcentował polski i tylko polski charakter miasta, któremu „wyzwoliciele narodu polskiego“ chcieli odrazu narzucić przemocą istinno-ruską historyczną markę. Wystarczy wspomnieć przemowę Prezydenta na uroczystem posiedzeniu Rady miejskiej w dniu 5. września 1914 r., na którem reprezentacya miasta przedstawioną została wojennemu gubernatorowi. Wszakże Lwów nazwany tam bez ogródek „miastem naszem ukochanem, prastarym grodem, co był przez wieki wielkiem centrum życia narodowego i państwowego“. Ma swoją wagę również fakt, że zarówno do Szeremetjewa i do generała komenderującego armią, Iwanowa, jak i do władz późniejszych przemawiał oficyalnie prez. Rutowski zawsze najpierw w języku polskim, potem dopiero po francusku. Na każdym kroku podkreślał tę polskość, którą reprezentował.

II.

Pierwsze troski i zabiegi.

(Kwestya aprowizacyi. — Pierwsze „tanie kuchnie“ i herbaciarnie. — Myśl o bezdomnych i niezaopatrzonych. — Organizacya policyi miej. — Brak drobnej monety. — Brak wody. — Sprawa sanitarna i szkolna. — Charakterystyka początków działalności Rutowskiego).

Natychmiast po zajęciu Lwowa rozpoczynają się dla Rutowskiego serdeczne, na długie, długie miesiące rozłożone troski o byt

pozostałej w mieście i obcej, napływowej ludności, której wszelkie możliwe „biedy“ niebawem zaczęły doskwierać. Miasto, objedzone przez wojsko, odcięte od centrów handlowych, ograniczone do bardzo już niewielkich zapasów miejskich, — zastraszone było widmem głodu i nędzy. Szerzyły się też na ten temat coraz uporczywiej prawdziwie hiobowe wieści. Aprowizacya miasta stawała się więc sprawą pierwszorzędnej wagi, niemal jedyną sprawą prawdziwie doniosłą. Już przedtem, zdaje się 2. września, postanowił Prezydent (w porozumieniu z „Komitetem obywatelskim kobiet“, pod kierownictwem Maryi Dulębianki,) otworzyć sześć herbaciarni i kuchni dla ubogich żon i dzieci powołanych do wojska oraz innej biednej ludności (zaczęto od kuchni przy ul. Ossolińskich 11. i dwóch innych), teraz znowu, gdy wszystkim niedostawało chleba, gdy stanęły piekarnie z powodu braku drożdży, inicyuje Prezydyum w porozumieniu z Dr. Moszyńskim fabrykacyę drożdży prasowanych i udziela na to subwencyi w zbożu i drzewie. Równocześnie, mimo jeżących się ze wszech stron licznych trudności, Rutowski i Schleicher dokładają wszelkich starań, aby w mieście nie brakło nabiału i najkonieczniejszych środków żywności. Do tego celu zmierza akcya gromadzenia pod zarządem miasta jak największej ilości krów mlecznych, do tego zdążają i inne czynności komisyi rekwizycyjnej. Dnia 9. września odbywa się w ratuszu zwołana przez Rutowskiego narada z gronem pań i panów, celem obmyślenia otwarcia tanich kuchni i herbaciarni dla ubogiej i zubożałej w tych czasach ludności, która stawała się przedmiotem wyzysku ze strony nieuczciwych „przemysłowców“. To też zaraz wchodzi w życie, prócz

istniejących trzech kuchni publicznych, jeszcze 8 dalszych, połączonych z herbaciarnią, w rozmaitych dzielnicach miasta. Były to pierwsze kroki żywicielskiej akcyi Rutowskiego, która, z jego serca poczęta, tak olbrzymie potem przybrała rozmiary. Powstały instytucye dobroczynne, wydające raz dziennie obiady, złożone początkowo z zupy i z chleba i raz dziennie herbatę z chlebem — bezpłatnie. Miasto dostarczało tym kuchniom po 100 bochenków chleba dziennie, tudzież wszelkich wiktuałów, jak mąki, ryżu, krup, cukru, herbaty i t. d., jednem słowem utrzymywało je. W ten sposób wypowiedziano walkę głodowi i idącym w ślad jego epidemiom, zorganizowano doniosłą samopomoc społeczną. Równolegle i już tem energiczniej idą starania o zaopatrzenie magazynów miejskich przez odpowiedni, uregulowany przywóz oraz o aprowizacyę miasta na punkcie opału. Wtedy Magistrat zaczyna wydawać legitymacye i ułatwiać otrzymywanie przepustek i „listów ochronnych“ przez osoby prywatne, wyjeżdżające w okolice Lwowa i dalej w celach aprowizacyjnych.

Nie tylko jednak t. zw. sfery niższe, proletaryat, znalazł się we wrześniu 1914 r. w położeniu bez wyjścia. Katastrofa podobna miała niebawem zagrozić i inteligencyi; część urzędników, zwłaszcza tych, co przybyli w ogromnej ilości z okupowanej wcześniej prowincyi, nie pobrała już za wrzesień pensyi, podobny los dotknął również wielu emerytów i wdowy; cóż dopiero mówić o nauczycielstwie ludowem prowincyonalnem lub tych niezliczonych oficyalistach i pracownikach instytucyi prywatnych (bankowych, gospodarczych i t. d.), którzy pozostali na lodzie, bez żadnych

środków do życia, obarczeni niekiedy liczną rodziną?... Wszystko to cisnęło się teraz do Magistratu, tej jedynej instytucyi, którą społeczeństwo nasze samorzutnym odruchem, uznało odrazu za kierowniczkę i orędowniczkę wszystkich swoich spraw natury publicznej i prywatnej, w której upatrywało jak gdyby jedyną swoją „władzę“. Wszyscy spieszyli do Rutowskiego, który swoją piękną postacią, dziejami całego swego życia i mądrem a dostojnem swem zachowaniem się wobec wroga, budził nieograniczone zaufanie. Deputacyom i błaganiom nie było końca! Na wrzesień przypadają z tego powodu pierwsze próby Rutowskiego organizacyi kredytu celem udzielania zaliczek tym, których zmienne koleje wojny pozbawiły stałych dochodów. Niestety, zabiegi te dopiero znacznie później miały wydać pewne owoce. Tymczasem ciężkie położenie łagodził Prezydent hojnie rozdawanemi zapomogami.

Dla zapewnienia miastu większego bezpieczeństwa wewnętrznego, powołuje wtedy Prezydent do życia, obok istniejącej Straży obywatelskiej, „milicyę miejską“ t. j. jak gdyby surogat policyi, z dyr. Tauerem na czele. Broni dostarczyła wojskowość, ludzi, — prócz straży akcyzowej, — rekrutacya dobrowolna, idąca nadzwyczaj sprawnie. Stronę finansową, płace „milicyantów“, wziął na siebie Magistrat. Wtedy również organizują się z polecenia Rutowskiego, biura policyi miejskiej: inspekcya policyjna, biuro bezpieczeństwa i biura: meldunkowe, potem sanitarne. Liczba milicyantów doszła niebawem do zamierzonego kompletu 500 ludzi, a choć „umundurowanie“ tych „cywilów“ w najrozmaitszego kroju tużurkach, w kaszkietach, czapkach, czy „melonikach“ na głowie, pozostawiało wiele do życzenia, to przecież, przyznać trzeba, że aż do przybycia sławetnych „gorodowych“ moskiewskich pełnili oni należycie swe obowiązki, stojąc na straży życia i mienia obywateli lwowskich.



Pierwsza pikieta kozacka na rynku.

Jeszcze inną „biedą“ ludności, leżącą mocno na sercu prezydentowi, był brak drobnej monety, niezmiernie utrudniający normalny obrót handlowy, a co zatem idzie, i wyżywienie miasta. W mieście szerzyły się uporczywie nieuzasadnione pogłoski o bezwartościowości papierowej monety austryackiej, o konieczności zachowania „drobnych“ na najczarniejsze godziny; wskutek tego odmawiano wymiany banknotów, gdy tymczasem każdy, chowając „drobne“, właśnie za te banknoty chciał kupować. Tworzyło się w ten sposób błędne koło!... Wtedy to Prezydyum wydaje najpierw stosowną odezwę, potem podejmuje myśl puszczenia w obieg bonów jednokoronowych miejskich, tych pierwszych, gdzieś po setce lat, obiegowych banknotów polskich w Galicyi o podwójnej barwie miasta, z jego herbem u góry. Po porozumieniu się z gubernatorem, sprawę tę istotnie doprowadzono do skutku, a pieniądze z podpisami własnoręcznymi (później faksymilowanymi) Rutowskiego, Stahla i Schleichera długi czas były w mieście naszem w obiegu. Groził również chwilowo Lwowu, podczas krwawych walk pod Wolą Dobrostańską, brak wody do picia. I to niebezpieczeństwo usuwa wczas Rutowski swojemi interwencyami u hr. Szeremetjewa, który obiecał dołożyć wszelkich starań, aby wodociągi były ocalone, oraz otwarciem dla publicznego użytku dawnych studzien miejskich.

Dwie inne doniosłe sprawy: sanitarna i szkolna, zajęły Rutowskiego także już wtenczas bardzo gorąco. Wszakże zależało mu i na zdrowiu fizycznem lwowskiego społeczeństwa i na duchowej tężyźnie najdroższej części narodu: młodzieży. Wobec szerzenia się chorób zakaźnych, naniesionych zwłaszcza przez armię rosyjską, zwiększa się czujność lekarzy miejskich, prof. Kuczera tworzy i obejmuje miejskie laboratoryum bakteryologiczne i Zakład przeciw wściekliźnie psów. Miejska Straż Obywatelska bierze na siebie akcyę sanitarną, kontrolującą i pouczającą, chroniąc mieszkańców suteren i poddaszy od głodu i zarazy. Wreszcie Prezydent powołuje do życia miejską Radę sanitarną.

W zakresie szkolnictwa rzuca Rutowski, już w pierwszej połowie września, myśl uruchomienia miejskich szkół ludowych, uzyskuje pozwolenie od hr. Szeremetjewa, stara się o lokale i 22. września poleca rozpocząć naukę. Do niego również, jako do znanego orędownika tej sprawy, zwraca się nauczycielstwo lwow. szkół średnich, które po tłumnych, gorących obradach w dniu 11. września, postanowiło skupić wokoło siebie wałęsającą się młodzież i rozpocząć możliwie najprędzej zwyczajny tok pracy szkolnej.

Trudno opisywać szczegółowo inicyatywę Prezydenta w niezliczonych wprost ówczesnych potrzebach chwili, inicyatywę rozumną, dziwnie przewidującą, niemal dywinacyjną, inicyatywę niezmożonej energii i nie zamykającej się w ciągłem darzeniu dłoni. „Pomocy“! wołało wtedy miasto całe i żądało tej pomocy właśnie od Rutowskiego, jakgdyby wiedząc, że przedziwny ten człowiek cuda umie robić, potrafi, gdy zechce, wydostać z pod ziemi, a idzie zawsze nie za zimnym, obliczającym rozsądkiem skąpego gospodarza, ale za rozumem czującego swego serca. Z każdym też dniem niemal powiększają się w początkowym tym okresie, bezpośrednio po inwazyi, troski i dobrowolnie przyjęte na się obowiązki

Prezydenta; wtenczas to narasta owo brzemię, słodkie dla bohaterskich ramion sukcessora Kampianów i Zimorowiczów, które Rutowski dźwigał mężnie na oczach miasta i kraju przez 10 długich miesięcy moskiewskiego najazdu. Żywienie pozostałej bez zaopatrzenia ogromnej ludności miasta, starania, podjęte z konieczności za państwo, o dolę rodzin rezerwistów, urzędników rządowych i krajowych, tysiącznej rzeszy nauczycielstwa, czuwanie nad całością i bezpieczeństwem stolicy, wreszcie wierna, żórawia straż nad nienaruszalnością polskiego jej charakteru, — oto krótkie, ale wystarczające wyszczególnienie prac Rutowskiego, już we wrześniu 1914 r. ściśle określonych.

Za rządów Bobrińskiego.

III.

Rutowski

obrońcą godności i polskości Lwowa.

(„Organizowanie" Galicyi przez Moskali. — Mowa Rutowskiego do Bobrińskiego. — Historye z carem. — O polskie szkoły. — Walka o teatr. — O nazwy ulic i flagi. — Sprawa języka urzędowego. — Na straży polskich tradycyi i zwyczajów).

Po krótkim okresie rządów Szeremetjewa, przychodzi już z końcem września 1914. do gruntownej zmiany osobistości, administracyi i całego systemu. Wielkorządztwo, nieograniczoną satrapię nad Galicyą otrzymuje hr. Jerzy Bobrińskij, bratanek głośnego „słowianofila" Włodzimierza. Z jego przybyciem, dotychczasowy kurs ulega zupełnej transformacyi, rozpoczyna się „organizacya" okupowanego kraju pod względem administracyjnym,

zlatują się całe sfory czynowników, a ideologia (sit venia verbo!) „Prikarpatskiej Rusi" wciela się w kształty realne.

Ale polityka Rutowskiego pozostaje granitowo niewzruszoną, nieustraszoną wobec brutalnie jasnych, niepolitycznie bezwzględnych zapędów russyfikatorów. Nieprześcignionym dokumentem tego — jest głośna już dzisiaj wszędzie mowa Prezydenta, którą „witał" stającego u progu rządów generał-gubernatora. Występuje w niej Rutowski jako przedstawiciel „stołecznego, królewskiego miasta Lwowa" (znienawidzona i wykpiwana przez Moskali tytulatura), „tego prastarego słowiańskiego i polskiego grodu", którego ludność, czująca się tu na własnym gruncie, przyjęła wkraczające wojska „ze spokojem, godnością i ufnością". To akcentowanie, powtarzanie z naciskiem, że Lwów — to prastary polski gród, „stolica, królewski gród o wielkiej dziejowej przeszłości, a zarazem żywe, wielkie nowoczesne miasto, w którem dopieroco straszna wojna przerwała bujne życie, kulturalną pracę na wszystkich polach, postęp i pełny rozwój", to charakterystyczne zakończenie: „O to cię prosimy w imieniu królewskiego miasta Lwowa, stolicy tego kraju", całe to — mówię raz jeszcze — podkreślanie polskości, królewskości i wiekowych tradycyi kulturalnych miasta — ma swoje olbrzymie i aż nadto przejrzyste znaczenie. A dodajmy jeszcze do tego, że „powitanie" to było wygłoszone nie po francusku, którym to językiem Prezydent doskonale władał, — ale umyślnie po polsku, — a zrozumiemy całą doniosłość tego występu.

W odpowiedzi na to otrzymał Rutowski szczerą, doprawdy, w swej brutalności i bezwzględności, oficyalną mowę grafa Bobrińskiego, w której zapowiedziano zupełną i bez jakichkolwiek ustępstw **russyfikacyę** całej wschodniej Galicyi i Łemkowszczyzny, „stanowiących z dawien dawna rdzenną część jedynej wielkiej Rusi“, zapowiedziano russki język, prawo i rządzenie państwowe, zamknięcie Sejmu, Rad powiatowych, miejskich i gminnych, wszelkich polskich instytucyi i towarzystw. Tak to wykonawca woli Mikołaja Mikołajewicza „ziszczał w Galicyi najgłębsze marzenia ojców i dziadów naszych“!...

Nie ugiął się stalowy charakter Prezydenta, **którego przeciwnicy polityczni małego ducha śmieli nieraz nazywać chwiejnym wrażeniowcem**, i wobec stokroć silniejszych, prawie przygniatających, okoliczności. Znana jest pod tym względem historya z portretem cara. W czasach zupełnego już zadomowienia się Moskali, kiedy, zdawać się mogło, żadna siła nie ruszy ich z naszego kraju, przynoszą pewnego dnia oferenci rosyjscy do Prezydenta ogromny, złocisty portret cara; narzucają mu się wprost z nabyciem tegoż, celem umieszczenia go na honorowem miejscu w sali recepcyjnej, gdzie stał ciągle biust Cesarza Franciszka Józefa! Powołują się na wskazówki Skałłona, który ich tu przysłał. Na propozycyę kupienia „portretu cesarza“ miał — wedle poważnej wersyi — odpowiedzieć Rutowski: „Nam nie potrzeba, bo oto jest już biust cesarza!“ I wskazał na rzeźbę, przedstawiającą austryackiego monarchę. Przekupnie poszli, jak zmyci. Taka „niebłagonadiożność“ nie mogła się naturalnie podobać władzom rosyjskim, wizerunek cesarza Austryi

drażnił odwiedzających ciągle Rutowskiego oficerów i czynowników. Kazano go więc bezwarunkowo usunąć. Ale niemało zdziwili się zapewne panowie z nad Newy i z pod Uralu, kiedy na miejscu Franciszka Józefa I., ujrzeli biust Jana III. Sobieskiego, króla Polski, politycznego przyjaciela Habsburgów i zbawcy Wiednia. W innych biurach Magistratu podobizny cesarza Austryi pozostały na swem miejscu przez cały czas rządów ochrany i nahajki [1]).

Nie koniec na tem. W marcu 1915., po zajęciu Przemyśla, który pożarł setki tysięcy moskiewskich ofiar, upojeni do nieprzytomności zwycięstwem, ślepi z radości, sprowadzają Moskale do Galicyi już nie malowanego, a rzeczywistego cara. Lwów w pierwszym rzędzie miał ujrzeć samodzierżcę Wszechrosyi „białego prawosławnego cara“, co jechał błogosławić „wyzwolone z wiekowej niewoli ziemie św. Włodzimierza Wielkiego“. Rutowski stał cały w ogniu na myśl, że mogą mu kazać stawić się przed potomkiem Katarzyny II. Świetny, jak zawsze, dyplomata, potrafił na audyencyi u Bobrińskiego wymówić się od takiej ewentualności. Posłano mu jednak „zaproszenie“ do cerkwi moskiewskiej, gdzie osławiony metropolita Eulogiusz miał krestem błogosławić zwycięskiego władcę, a deputacye i ciało wojskowo-urzędnicze pokłony bić miało przed swoim panem życia i śmierci. **Rutowski nie poszedł.** Ani przez

[1]) Niemniej charakterystyczna była historya z orłem austryackim, którego kazano usunąć ze szczytów wieży ratuszowej. Prezydent odmawiał stale, tłumacząc się brakiem śmiałków, którzyby takiej karkołomnej wyprawy się podjęli. Przyszło nawet z tego powodu, do zatargu z prystawem, na którego Rutowski zaniósł skargę do Bobrińskiego.

mgnienie oka się nie wahał. Gdzież bo jemu, prawemu Polakowi i obywatelowi austryackiemu, kłaniać się największemu ciemiężcy naszego narodu, obcemu i prawosławnemu władcy... Takim był Tadeusz Rutowski w 1914. i 15-tym roku.

O polski Lwów toczył on walkę do upadłego, walkę do niemożliwości nierówną, na podobieństwo zapasów Dawida z Goliatem. Ale jak biblijnemu Dawidowi duch Boży dawał moc i odwagę szaloną, tak Jego nieskalany znicz miłości ojczyzny, w sercu gorejący, rozpłomieniał i hartował na walkę długą, żmudną, nieraz w swej drobiazgowości okropną, toczoną każdego dnia i każdej godziny.

Jednym z jej najuciążliwszych etapów była sprawa polskiej szkoły. Bobriński, objąwszy rządy, wysyła do czynnych już zakładów naukowych na zwiady, jako osobistość „niezmiernie kompetentną", koniuszego carskiego, Czichaczewa, znanego Polakom jako referenta sprawy chełmskiej w Dumie. Po uprzejmych wizytach tego ugrzecznionego i naładowanego obietnicami dygnitarza, nastąpiło — sposobem iście bizantyńskim — zamknięcie wszelkich polskich szkół publicznych i prywatnych we Lwowie, funkcyonujących i nieczynnych. Jednem pociągnięciem pióra postanowiono, że we Lwowie i w Galicyi wschodniej nie będzie w ogóle nigdy żadnej innej publicznej szkoły, jak tylko rosyjska, żadnego innego publicznego nauczania, prócz rosyjskiego. Dozwolono tylko łaskawie na otwarcie paru ściśle prywatnych zakładów średnich polskich, pod nadzorem czynowników moskiewskich, z wprowadzeniem języka rosyjskiego, historyi i geografii Rosyi. Co do szkół ludowych miejskich we Lwowie, nie wypowiedziano się wyraźnie, choć zamknięto je natychmiast. Na przedstawienia Prezydenta zbyto go odłożeniem całej sprawy do października 1914., potem do Nowego Roku. Tymczasem młodzież obojga płci wałęsała się gromadnie po ulicach, ulegała wpływom jak najgorszym.

Ale Rutowski nie spuszcza sprawy z oka. W grudniu osobnym memoryałem zwraca się do Gubernium, przedstawia ludowe szkoły miejskie także jako szkoły prywatne, przypomina obietnice, stawia przed oczy okropne położenie młodzieży i domaga się otwarcia na razie przynajmniej 10. szkół ludowych polskich. Jego też usilnym zabiegom udało się wkońcu uzyskać, gdzieś w lutym 1915., zasadniczą zgodę na otwarcie tych 10. zakładów, pod tym warunkiem jednak, że równocześnie będą otwarte 2 szkoły miejskie czysto rosyjskie, że w szkołach polskich będzie wykładany język rosyjski, będą podręczniki z Królestwa Pol. i t. d. Ta nieproporcyonalność żądania zmusza Rutowskiego do natychmiastowej obrony naszego stanu posiadania. Waląc Moskalom w oczy niezbitymi argumentami statystyki ludności i szkół, żąda dodatkowego otwarcia jeszcze dwóch szkół polskich, pisząc przy tem znów znamienne słowa „na razie". To ostatnie zastrzeżenie, to natychmiastowe, prawie natarczywe, zażądanie owych dwóch szkół — ileż światła rzuca na wspomnianą wyżej nieustępliwość patryotyzmu Rutowskiego. Inna rzecz, że ani na to się nie zgodzono, ani wogóle szkół ludowych polskich we Lwowie nigdy nie otwarto. Niby to trudności na punkcie podręczników, niby to brak lokalów dla szkół russkich etc. — posłużyły za doskonały pretekst dla różnych Plesskich i Juszkiewiczów!...

Prezydent walczył o szkolnictwo polskie do końca. Kazał układać plany i organizować grona nauczycielskie, urgował, prosił, oczekiwał lada chwila definitywnego zezwolenia, a tymczasem zmagał się z moskiewską cenzurą szkolną o dotychczasowy elementarz polski dla „sztubaków", któremu czynownicy rosyjscy nie mogli przebaczyć ustępów o cesarzu i chcieli skonfiskować cały, w tysiące idący, nakład. Niemniej leżały mu na sercu i polskie szkoły średnie; popiera więc swoją u władz instancyą każdy zabierający się do pracy zakład prywatny, inicyuje i proteguje myśl stworzenia gimnazyum prywatnego i takiejże szkoły realnej polskiej im. Kopernika, któreby umożliwiły szerokim warstwom ludności kształcenie swych dzieci, stara się wreszcie jakimś cudownym wybiegiem ocalić choć jedną, dwie publiczne szkoły średnie polskie i w tym celu szczegółami historycznymi i hipotecznymi udowadnia „miejskość" gimnazyum Franciszka Józefa i szkoły realnej przy ul. Kamiennej. Wszystko to się jednak rozbijało o „życzliwość administracyi rosyjskiej". Nieco lepiej udało się natomiast Rutowskiemu z ożywieniem — choć co prawda — minimalnem, uniwersyteckich agend, a to przez uzyskanie pozwolenia na cichutkie odbywanie rygorozów doktorskich.

Nie mogąc skupić młodzieży szkolnej tam, gdzie najwłaściwsze było dla niej miejsce, chciał przecie Rutowski uchronić ją na wszelki sposób od grożącej, potwornej demoralizacyi ulicy i nędzy. Urządza — za zezwoleniem władzy — warsztaty szkolne dla młodzieży przy dawnych szkołach, oddaje je pod kierownictwo dawnych nauczycieli, stwarza możność pożytecznej

pracy i godziwej rozrywki; wraz z Związkiem Rodzicielskim i niezmordowanym „Komitetem Kobiet" podsyca czynność ochronek i gniazdek dziecięcych, coraz się mnożących, utrzymuje je aprowizacyą miejską, rozgrzewa opałem i tą dziwnie ojcowską opieką. Wobec „czujności" dotyczących czynników tajna nauka nie dała się tam jednak prowadzić.

Drugą — obok szkół — placówką polskości, uparcie, bez wytchnienia bronioną przez Prezydenta przeciwko zakusom rusyfikatorskim — był Teatr miejski, instytucya lwowska, z którą wiąże się tyle świetnych tradycyi i wspomnień.

Od chwili inwazyi teatr był zamknięty, a okazały jego budynek, ściągający na siebie uwagę Moskali, świecił pustkami. Gradonaczelnik Skałłon, typowy czynownik rosyjski, figura, którą Lwów długo będzie pamiętał, — chciał za wszelką cenę wpakować tam i zainstalować kijowską trupę operową Bagrowa i Smirnowa; oglądał łapczywie wnętrze gmachu i parł usilnie ku rozpoczęciu przedstawień. Stał naturalnie niedwuznacznie na stanowisku, że w „prastarym, istinno russkim grodzie Lwowie" teatr „miejski" może być przedewszystkiem i tylko dla rosyjskiej sztuki.

Położenie stawało się wprost fatalnem. Wtedy to Rutowski — patryota, Rutowski — mecenas sztuki, który tego posterunku do upadłego bronić postanowił, nie mogąc w tej chwili uroszczeniom ze strony moskiewskiej przeciwstawić czegoś konkretnego ze strony polskiej, chwyta się jako jedynej deski ratunku, sprawy ogrzewania gmachu, aktualnej ze względu na porę zimową. Centralne ogrzewanie, wedle nowego systemu Ströbla, jeszcze nie przeprowadzone, jest na ukoń-

czeniu; inaczej ogrzewać niepodobna. Skoro z tą instalacyą się załatwi, będzie pora odpowiednia i jedynie możliwa do omawiania kwestyi dzierżawy. A tymczasem, było to już rzeczą Prezydenta, aby ta instalacya tak szybko nie nastąpiła. Wystarczy nadmienić, że był pod tym względem chytry chytrością Penelopy, co, naglona przez zalotników, tkała wyroczną szatę... Cała historya odwlekła się do ciepłych dni maja, lecz teraz już tem ostrzej policmajster począł nacierać.

Rutowski uprzedził oficyalne zabiegi, wyjmując z zanadrza gotowy kontrakt z Gliksonem i Makuszyńskim. Rozpoczął tedy działalność ów osobliwy teatr wojenny Lwowa, przeforsowany energią Prezydenta, teatr, który miał za zadanie być środkiem naszej samoobrony przeciw rusyfikacyi polskich posterunków, a zarazem jasną pochodnią polskiej rodzimej sztuki świecić w długą narodową noc zwątpienia i udręki. Kontrakt był oparty na zasadach dawnej umowy z dyr. Hellerem, z pewnemi tylko zmianami, wśród których gorejącemi głoskami błyszczy rycersko - zuchwałe zastrzeżenie, że przedstawienia mogą się tu odbywać po polsku i j e d y n i e p o p o l s k u.

A pierwsze przedstawienie tego teatru Rutowskiego odbyło się dnia 8. maja 1915 r., a daną była „Halka“ Moniuszki, opera narodowa.

Czasy nie usposabiały do rozrywki, to też wieczory teatralne bywały nieraz smutne, nieme, niby odbicia martwe tych dawnych, hucznych, czy gdzieś w górne sfery uniesień porwanych wieczorów. Dochody były minimalne, o ile wogóle o dochodach wolno mówić, ale teatr iść m u s i a ł. Prezydent dokładał, zaliczkował kierowników, ułatwiał przyjazd artystom przez Rumunię (jak

n. p. znakomitej śpiewaczce Korolewicz - Waydowej), otaczał czułą opieką brać aktorską, dla której również przyszły wtedy ciężkie czasy, udzielał im stałych dziennych zapomóg w dni głodu i chłodu, łożył na ich kuchnię w Kole liter. - artystycznem. Teatr iść m u s i a ł, bo tak trzeba było i szedł szczęśliwie do końca, wzmożony na siłach połączeniem się z operetką Lelewicza, która grała już dawniej w Kasynie miejskiem. Miarą powagi i szacunku, do jakiego nieustępliwy Polak, Rutowski, potrafił zniewolić władze okupacyjne, jest i w tej sprawie n. p. fakt, że kiedy Skałłon robił trudności z aprobatą otwarcia teatru, szykanując to na punkcie cenzury, to na punkcie afiszów, — Bobrińskij na instancyę Prezydenta dał natychmiast pozwolenie. Uzyskał również Rutowski „placet“ na zastrzeżenie co do języka polskiego, o którego istnieniu gubernatora zawiadomił; Bobrińskij p r o s i ł t y l k o Prezydenta, by pozwolił na 4. przedstawienia trupie alexandrowskiej z Petersburga co jednak nie doszło do skutku.

Tak na każdym kroku bronił Prezydent polskiego charakteru naszej stolicy. Kiedy Gradonaczalnik wydał nakaz natychmiastowego umieszczenia tablic z rosyjskiemi nazwami ulic (obok polskich), — Rutowski postanawia jakimkolwiek sposobem uchylić to zarządzenie. Dwa razy, na jego instancyę zezwolił Bobrińskij na zwłokę, za trzecim razem sam wydał podobny nakaz w styczniu 1915. Osobiście i w odpowiednim memoryale przedstawia teraz Prezydent z niezwykłą śmiałością Generał - Gubernatorowi ryzykowność takiego rozporządzenia z uwagi na drażliwość umysłów ludności; równocześnie przekłada obszernie niewykonalność nakazu w żądanym terminie 14 - dniowym ze

względu na olbrzymie jego rozmiary i trudność wydostania materyału na przeszło 2400 inskrypcyi, proponuje wreszcie — jeśli już nie można tego odłożyć do czasu powojennego — jako terminus ad quem zamiast 2 tygodni... jeden rok. Bez komentarzy!... Umiał też Prezydent sprawę tę przewlekać tak długo, całe miesiące, aż Naczelna Komenda Armii wdała się w to sama i szyldziki rosyjskie pojawiły się na murach domów... na motyli żywot.

Podobnie było z „flagowaniem“ ulic. O zwykłych „galówkach“ niema co i mówić. Każdy właściciel domu musiał wtedy wywieszać rosyjską chorągiew, stójkowi pilnowali tego najskrupulatniej, a Prezydenta nikt o pozwolenie nie pytał. Co innego, gdy zażądano od Rutowskiego, aby sam odpowiednią odezwą do ludności wezwał ją do przyozdobienia domów i balkonów w flagi, na znak radości z powodu upadku Przemyśla lub przyjazdu cara. Wiadomo powszechnie, że właśnie na podobną propozycyę ze strony Bobrińskiego po wzięciu przemyskiej twierdzy przez Moskali, odpowiedział Rutowski, prosto i wyniośle: „Lwów niema powodu do radości, gdyż jest w żałobie“. Nie uczynił też tego i przed przybyciem Mikołaja II.

Praw suwerennych polskiego języka nie pozwolił Prezydent, o ile to było w jego mocy, nigdy w niczem naruszyć. Przemawiał — jak już zaznaczałem — zawsze nasamprzód po polsku, chociaż go nieraz nie rozumiano; cała korespondencya Magistratu z władzami rosyjskiemi odbywała się zawsze w dwóch równoległych tekstach, polskim i rosyjskim, z tekstem polskim na pierwszem miejscu. Z Generał-Gubernatorem korespondował zrazu tylko po francusku, a gdy tenże zastrzegł sobie później i pod tym względem język rosyjski, redagował Rutowski swoje listy i memoryały również w dwóch językach, z tekstem polskim na czele. Bezczelne rozporządzenie władz rosyjskich, aby i w wewnętrznem urzędowaniu Magistratu obok polskiego języka, obowiązywał zawsze i wszędzie równolegle język rosyjski, nigdy, ani na chwilę, nie weszło w życie.

Tradycye polskie, w całej ich dostojnej, przekazanej postaci, obserwował Rutowski jak najściślej i z należną im powagą. Przykazaniom i świętościom ojców naszych — on, w którym nieraz chciano widzieć czerwonego liberała i „farmazona“, nie sprzeniewierzył się ani na chwilę. W narodowe święto 3-go maja, obchodzone wśród rozpaczliwej depresyi, w cichości kościoła, konspiracyjnie, wśród łkania tłumów zebranych, pod czujnem okiem ochrany — cały personal miejski otrzymał polecenie wzięcia udziału w nabożeństwie; biura stały jakiś czas pustką, a zdziwieni Moskale odchodzili z niczem. „Dziś nasze polskie święto“ informował woźny „wszyscy poszli do Katedry“. Wieczór tego samego dnia Skałłon łapał po ulicach i indagował po cyrkułach tych, którzy pojawili się z biało-amarantową kokardką polską na piersiach.

Albo któż z nas nie pamięta Rezurekcyi wielkanocnej 1915. roku? Taka odmienna od dawnych, martwa, pozbawiona tej żywiołowej radości, wybuchającej na Alleluja. Wśród grobowego milczenia tłumu, widzieliśmy przez łzy, długiego węża cichej procesyi, w której za Sanctissimum szedł z gorejącą świecą, w czerni, z łańcuchem prezydenckim na szyi, Tadeusz Rutowski, reprezentant tego, co

z polskości Lwowa oficyalnie pozostało. Za nim i przed nim szli członkowie Rady miejskiej, jego towarzysze. Wśród bicia dzwonów, z namaszczeniem, przejęciem się tą symboliczną rolą, jaką w oczach wszystkich wziął na siebie, obchodził poważny starzec trzy razy dokoła świątynię. Z rzewną miłością patrzyliśmy na naszego opiekuna i przewodnika.

Nie tak smutny był już obchód Bożego Ciała, kiedy to olbrzymia procesya kroczyła po Rynku wśród szpaleru z kaleków - inwalidów austryackich; Prezydenci postępowali za baldachimem. Słońce grzało okrutnie, błyszczało w złocie monstrancyi i czerwieni sztandarów; a w sercach, przeczuciem wiedzionych, była już mocna nadzieja lepszej, a niedalekiej przyszłości.

Nie było wreszcie nic bardziej polskiego od zebrań towarzyskich u Prezydenta, na których skupiało się w swoich przedstawicielach całe ówczesne polskie społeczeństwo Lwowa. Nowy Rok, Święcone — niezapomniane chwile, pełne przedziwnego ciepła zżycia się, wspólnego wynurzania trosk i nadziei. Ale o nich później!... Powiedzmy tylko: dom Rutowskiego, jego biuro i otoczenie było to — prawdziwe „centrum polszczyzny".

IV.

Rutowski — żywicielem i opiekunem ludności Lwowa.

(Opłakane stosunki. — Na korytarzach Ratusza. — Rozszerzanie akcyi humanitarno - żywicielskiej. — Kuchnie ludowe i dla inteligencyi. — Wspomaganie zakładów dobroczynnych. — Opieka nad dziećmi. — Dom Matek. — Popieranie samopomocy kobiecej i warsztatów przemysłu domowego. — Ubieranie biednych).

Nie tylko jednak niepodzielne obowiązki obrońcy polskości Lwowa przypadły Rutowskiemu w udziale. Wspomniałem już i o ciężkiem, odpowiedzialnem zadaniu ż y w i c i e l a i j a ł m u ż n i k a o p u s z c z o n e j l u d n o ś c i, które spoczęło na jego barkach. Powtarzamy raz jeszcze, że urzędnicy wszelkich dykasteryi i nauczycielstwo pozostało bez pensyi, rodziny rezerwistów bez zasiłków rządowych i jakichkolwiek środków utrzymania, olbrzymie masy rzemieślników i robotników bez najmniejszego zajęcia, drobni kupcy i handlarze bez towaru i możliwości zarobkowania. Niedostatek materyalny, poprostu głód i skrajna nędza, poczęły szerzyć swoje straszne zagony wśród mieszkańców stolicy. Nawet rodzinom, w zwykłym czasie bardzo dobrze sytuowanym, zabrakło zupełnie codziennego chleba. Mnożą się coraz więcej szeregi „wstydzących się żebrać", ciche tragedye odgrywają się po mieszkaniach inteligentów. A dodajmy jeszcze do tego te falangi przybyszów z prowincyi, którzy ściągnęli przed i podczas inwazyi do Lwowa, jak niegdyś w Polsce ludność okoliczna chroniła się z dobytkiem do grodów, a teraz zostali wprost na bruku, bez grosza, bez znajomych,

bez możności poradzenia sobie. Samego nauczycielstwa ludowego z prowincyi była kilkotysięczna rzesza. A ileż przywędrowało małomiasteczkowych żydów, ile ludności z gmin podmiejskich!...

Charakterystyczne sceny rozgrywały się codziennie na korytarzach pierwszego piętra ratusza, gdzie mieszkał Prezydent. Od wczesnego ranka gromadziły się tam wynędzniałe tłumy biedaków: żon i rodzin walczących gdzieś żołnierzy, matek z niemowlętami, wdów, niedołężnych staruszków. Skargi, narzekania, płacz słychać było naprzemian z klątwą i wygrażaniem Bóg wie komu. Wtem zjawiał się Rutowski. Jego zawsze pogodna, uśmiechnięta twarz przybierała dziwny wyraz rzewności, ręce szukały nerwowo po kieszeniach i sypały się w tłum drobne srebrne pieniążki. Żeby przynajmniej starczyło na chleb dla dzieci... Prawica nie wiedziała, co daje lewica, a obie ręce były jednakowo hojne. Ludziska całowali te ręce i błogosławili „pana z białą brodą". I tak działo się dzień w dzień przez całe miesiące. Przechodniom z miasta trudno było bez rozrzewnienia patrzeć na to, a niejednemu cisnęło się zapewne do głowy, że tak musiał wyglądać na ratuszu lwowskim stary Marcin Kampian w r. 1623.

Naturalnie, że tego rodzaju akcya nie mogła wystarczyć. Trzeba było dalej prowadzić i szeroko rozwijać działalność humanitarną zapoczątkowaną we wrześniu. Istniało już kilkanaście kuchni, przeważnie ludowych. W połowie października powstaje za staraniem Prezydyum ogromna tania kuchnia dla inteligencyi w „Sokole Macierzy", w której 1200 osób otrzymuje obiady, przeważnie bezpłatnie. W ślad za nią

idą dalsze podobne kuchnie: dwie w Sokole II. t. j. ludowa i dla inteligencyi i w Kole literacko-artystycznem (na 800 osób), ta ostatnia głównie dla artystów i literatów, później osobna kuchnia dla kolejarzy tania kuchnia dla inteligencyi żydowskiej przy ul. Rejtana, miejska bezpłatna kuchnia dla rękodzielników bezrobotnych i ich rodzin na Strzelnicy miejskiej, kuchnia nauczycielska przy ul. Mochnackiego 32 (na 300 obiadów), kuchnia dla inteligencyi w budynku miejskim nad Kawiarnią wiedeńską na 600 do 1000 obiadów, głównie dla urzędników namiestnictwa, dyrekcyi skarbu i t. d., kuchnia dla nauczycieli i nauczycielek szkół średnich przy ul. Unii Lubelskiej l. 9., kuchnia dla zecerów, drukarzy, typografów w ich stowarzyszeniu przy ul. Piekarskiej L. 18., kuchnie ludowe w szkole św. Zofii i w szkole Mickiewicza, kuchnia dla urzędników kolejowych w ogrodzie Jezuickim, kuchnia dla osób z akademickiem wykształceniem i ich rodzin w bursie im. Kościuszki, kuchnia dla młodzieży żeńskiej u SS. Urszulanek, ul. Jacka 16., kuchnia dla inteligencyi przy ul. Sykstuskiej 23 i t. d.[1]). W dniu 23. listopada było już tych kuchni dla ludu i inteligencyi razem czterdzieści. Przecież o zaprzestaniu akcyi nie mogło być mowy; zbliżała się ostra zima, a bieda przybierała wprost zastraszające rozmiary. Inteligencya była w gorszem jeszcze położeniu, niż proletaryat, bo i zarobkować było jej trudniej i różne, bądź co bądź poważne, względy nie pozwalały jej korzystać z tych wszystkich źródeł pomocy, z których bez skrupułu mogła

[1]) Wyliczyłem umyślnie w porządku chronologicznym, aby dać obraz narastania tej akcyi.

i chciała czerpać biedniejsza ludność. Nieobojętnym momentem była też osobliwa niechęć ludzi prostych, zwłaszcza kobiet, do „inteligentów“, okazywana przy wspólnem zabieganiu o zapomogi, tanie towary itd., odstraszająca inteligencyę od tych koniecznych, a każdemu dostępnych, starań.

Wiedział o tem wszystkiem Rutowski i jego prawa ręka w tej akcyi, Dulębianka. To też coraz gęściej rozrzuca Magistrat po mieście kuchnie ludowe, przeznaczone dla ogółu, przedewszystkiem dla sfer najbiedniejszych, inicyuje również i utrzymuje coraz liczniejsze kuchnie dla inteligencyi. Ze względów towarzyskich (jeden poziom, zżycie się wzajemne, wspólne myśli i tematy rozmów) podzielono też pewną część kuchni wedle dykasteryi, zawodów, kół pracy i współżycia. A więc mieli swoje wspólne, koleżeńskie stoły — jak już zaznaczyłem — urzędnicy namiestnictwa i skarbu, urzędnicy kolejowi, artyści i literaci, nauczyciele ludowi, nauczyciele szkół średnich, ludzie o akademickiem wykształceniu, inteligencya żydowska, ruska, technicy, młodzież żeńska wyższych i średnich zakładów naukowych itp. Ale było i kilka kuchni dla inteligencyi wogóle, wskazanych potrzebami poszczególnych dzielnic miasta. Analogicznie mieliśmy odrębne kuchnie dla rękodzielników, drukarzy, robotników kolejowych, rzemieślników żydowskich.

Ilość osób, które żywiły się bezpłatnie lub za śmiesznie małą zapłatą w tych dobroczynnych instytucyach, powstałych z inicyatywy czującego serca Prezydenta, — dochodziła do 50.000 i więcej, a w czasach najlepszych (w lecie 1915.) obniżyła się do około 30.000. Tu dostawano ciepłą strawę, gorącą herbatę, tu można było

pogadać, pożalić się, poinformować o czemś... naturalnie z wielką ostrożnością. Z opłat za obiady wracały się niewielkie kwoty, dlatego też koszt utrzymywania wszystkich tych instytucyi spadał



„Kuchnia miejska w „Sokole".

na miasto. Wystarczy dla przykładu zaznaczyć, że od inwazyi do końca grudnia 1914. dostarczył miejski Zakład aprowizacyjny kuchniom lwowskim to-

warów za kwotę 413.730 koron 20 gr. (bez opału), — przytem samego chleba za 287.492 K. 40 gr. Bo przecie liczba kuchni z końcem owego roku wynosiła już z górą — sześćdziesiąt. W roku 1915, aż do nastania dni ciepłych, cyfry wydatków na kuchnie jeszcze dalej rosły.

Prócz kuchni, utrzymywało też miasto lub wspierało subwencyami w naturze zaniedbane przez dobroczynność publiczną Zakłady humanitarne, zarówno t. zw. miejskie, jak i inne, n. p. Zakład Sierót, Domy dla nieuleczalnych, Brata Alberta. Zakład Dziec. Jezus i t. d., oraz wspomagało niektóre dobroczynne klasztory i zgromadzenia zakonne, pozbawione zwykłych dochodów, a utrzymujące ponadto większą, niż zazwyczaj, ilość osób (przybyłych z zalanej wojną prowincyi).

Szczególniej wrażliwe było serce Rutowskiego na niedolę małych dzieci, tych drobnych istot niezaradnych, czy to sierót, czy zaniedbanych z konieczności przez biednych, ciężko pracujących rodziców. Otacza więc troskliwą opieką istniejące „ochronki miejskie", organizuje i utrzymuje „Dom opieki nad dziećmi" w szkole im. Tańskiej, nowe ochronki i schroniska dla dzieci ludu i inteligencyi, obsyła wiktuałami ochronki klasztorne; wraz z „Związkiem Rodzicielskim" i prywatnemi osobami subwencyonuje hojnie powstające „Gniazdka dziecięce", „Ogrzewalnie dla dzieci" i „Ciepłe Kąciki". Pozbierane z ulicy i z zimnych mieszkań dzieciaki znajdują miły, jasny przytułek przy wesoło trzaskającym ogniu, zdrowy posiłek przy wspólnym stole i niezamącone echem ogólnej niedoli godziny niefrasobliwej zabawy. A ileż było radości, gdy w Święta zapłonęło jarzące drzewko i rozdano skromne podarki!...

Pomijając już liczne miejskie herbaciarnie, o podniosłem znaczeniu, zwłaszcza czasu groźnej zimy, gdyż dawały szybkie, bezpośrednie rozgrzanie przemarzniętemu biedakowi, — przechodzę do jednej jeszcze instytucyi filantropijnej. Mam na myśli „Dom Matek" przy ul. Lelewela L. 9. Szlachetna natura Rutowskiego odczuła niezwykle silnie tragiczną sytuacyę skazanych na głód i mrozy matek — karmicielek; impuls wyszedł, zdaje mi się, jak zwykle od jakiejś jednej wstrząsającej obserwacyi. I oto powstaje w wydobytym na ten cel przez Rutowskiego od Braci Szkolnych budynku, pod czułą opieką Sióstr Maryanek, schronisko dla 32 matek i tyleż niemowląt „by im w pierwszych trzech miesiącach zapewnić opiekę, podchować, by nie dać ginąć marnie tym polskim dzieciom, bo z nich ma powstać pokolenie, na które są zwrócone dziś oczy całego polskiego społeczeństwa". Nie poszło z tą sprawą łatwo odrazu, były trudności i przeciwne opinie, ale Prezydent w zapale twórczym umiał wszystko pokonać i czuł się zadowolonym dopiero wtedy, gdy ujrzał bezdomne niemowlęta w czystych łóżeczkach na tle dużych jasnych sal zakładu.

W ciekawy sposób splatały się nieraz z sobą i uzupełniały nawzajem dobre chęci Rutowskiego, aby dopomódz nieszczęśliwej ludności miasta, szczególnie owym „ludziom bezdomnym" „wywiałkom", co mimo najlepszych chęci, niekiedy bezradnie opuszczać musieli ręce. „Komitet Obyw. pracy kobiet" krząta się w pierwszym rzędzie nadzwyczaj energicznie, aby zapewnić kawałek chleba bezdomnym kobietom i dziewczętom z prowincyi, zająć je pożytecznie, uchronić od nędzy i zdradliwych jej podszeptów. Czegoż te i inne

nasze dzielne i zasłużone panie nie próbują, a jakoś wszystko im się udaje... Domowy przemysł rozwijają one od zimy na wielką skalę. Tak np. p. Dulębianka i p. Demelówna tworzą ogromną pracownię (obecnie przy ul. Teatralnej), zatrudniają szeregi kobiet, zakładają własny sklep; podobny bazar przemysłu krajowego otwiera inna grupa pań tzw. „Samopomocy", z inicyatywy p. Maryi Kazeckiej przy ul. Batorego, potem Akademickiej. W warsztatach kobiecych wyrabia się rzeczy najrozmaitsze, począwszy od bluzek, fartuchów, pończoch, kilimów, kap, ubrań szpitalnych, drobiazgów meblowych, a kończąc na... butach. Te buty mają swoją osobną kartę, którą tutaj trudno rozwijać. Znaleziono fachową nauczycielkę z Paryża, uruchomiono odpowiedni warsztat w Snopkowie i stojącą fabryczkę na Łyczakowie i zabrano się do wyrabiania trzewików, które okazały się wcale dobre i trwałe. Warsztaty pań mieściły się w szkole Tańskiej, w Bursie Nauczycielskiej, i przy ulicy Teatralnej, w domu miejskim. Rutowski zapalił się do tego świetnego objawu samopomocy, który istotnie przetrwał czasy inwazyi. Zakupywał z warsztatów tych odpowiednie wyroby jak n. p. kilkaset par butów, suknie, sukienki dla dzieci, bluzki, fartuchy i rozdawał je za pośrednictwem zaufanych pań pomiędzy biedną ludność, często zupełnie bosą, między żony rezerwistów, pozbawione płacy prowincyonalne nauczycielki i t. p. [1]). Prawie wszystkie nauczycielki zostały w ten sposób obdarowane. Nabywał również i rozdawał matkom płótno na bieliznę dla dzieci, kupował

[1]) Wiele wyrobów rozdawały też panie darmo; wiele sprzedano w sklepach.

materyał, dawał z niego robić za odpowiednim wynagrodzeniem suknie dla najbiedniejszych kobiet, naturalnie w warsztatach Komitetu, szkoły Jadwigi lub w „Domu pracy kobiet", zostającym pod opieką p. Stahlowej. Fundusze, jakich Rutowski w tym celu używał, były albo miejskie, albo nadesłane drogą darów przez Polaków z Królestwa i Rosyi. To „ubieranie" biedaków, nieraz ludzi inteligentnych, niemających za co kupić sobie najniezbędniejszej garderoby, uprawiał Rutowski stale, a panie nasze mogą w tym względzie opowiedzieć mnóstwo rozczulających najtwardsze serce szczegółów delikatności, subtelnego odczuwania, szlachetnej ofiarności Prezydenta. Na same buty wydał Rutowski (zwłaszcza „na Gwiazdkę") kilkanaście tysięcy koron (około 1.500 par), taką samą kwotę na wspomniane wyżej ubrania, bardzo dużo na 1.000 sukienek „gwiazdkowych" dla dzieci, również na kołdry, derki i t. p., dla inwalidów, nabywanie w Bazarze „Samopomocy". Warsztatom dawał zadarmo lokale miejskie, opał, światło, płacił niekiedy nauczycielstwo i kupował materyały, jak n. p. dla obszernych warsztatów w szkole król. Jadwigi, przez siebie uruchomionych, lub dla poszczególnych pracowni szkolnych; te ostatnie, prowadzone przez nauczycielstwo miejscowe i przybyszów, zaprzątały pożytecznem zajęciem całe gromady rozwłóczonych do niedawna dzieci, a łatwa ich wytwórczość polegała na wyrabianiu ozdobnych przedmiotów ze słomki, papieru, pudełek i torebek cukiernianych, rzeczy z zakresu stolarstwa i t. d. Nie potrzeba dodawać, że miasto łożyło również na utrzymanie pracowników, dostarczając z swoich zapasów, czego tylko mogło.

Znaczenie takiego skupienia bezdomnych i bezrobotnych, takiej ochrony kobiet i dzieci przed grożącą im deprawacyą — ma swoje olbrzymie znaczenie. Zasługa to w głównej mierze Pań Lwowskich, lecz w równym stopniu i Rutowskiego, który swego protektoratu, swojego orędownictwa i materyalnego poparcia tym przedsięwzięciom użyczył, a organizował warsztaty szkolne.

V.

Akcya zapomogowa.

(Nędza finansowa. — Codzienni petenci. — Rozdawnictwo zapomóg i jego rodzaje. — Inicyatywa w rozdawnictwie opału. — Zaliczki urzędnicze i ich historya. — Co jeszcze w tej sprawie i podobnych zrobił Rutowski?).

Czas przejść z kolei do akcyi zapomogowej w pieniądzach, którą kierował osobiście sam Prezydent, a która zakreśliła bardzo rozległe koła. Płynęły te zapomogi bądź to z funduszów miasta, wojną szalenie nadszarpanych, bądź z ofiar, wyjednywanych i gromadzonych przez Prezydenta. Nędza w mieście poczynała wyszczerzać zęby i głód nie na żarty dokuczał tysiącom rodzin. W ślad zatem szła walka z mrozem i epidemie. Dziesiątki tysięcy podań wpływało codziennie, od rana do wieczora, na ręce Prezydenta z błaganiem o zapomogę, choćby najmniejszą. Treść ich dałaby jakiemuś Skardze wstrząsający do głębin duszy materyał do kazania o miłosierdziu. Prośby wnoszono osobiście i czekano bez przestanku na rezolucyę. Sienie magistrackie zawalone były biedakami, odbywały się rozdzierające sceny, głód — zły doradca, powodował nieraz istne rewolty, rzucano się do drzwi Prezydyum, bito w nie, grożono urzędnikom. Groszaki rozdawane prywatnie przez Prezydenta nie wszystkim się dostawały i nie wszystkim mogły wystarczyć! On wiedział o tem najlepiej. Przeglądał przy pomocy urzędników istne zatrzęsienie podań, przyjmował, o ile czasu starczyło, poszczególnych petentów, kreślił bez końca białe świstki asygnat, dawał wprost z szuflady, czy z kieszeni, obiecywał, pocieszał. Biuro prezydyalne wydało z samych funduszów miejskich za czas inwazyi kilkanaście tysięcy koron takich dorywczych zapomóg w monecie austryackiej i rosyjskiej. Były zaś datki Prezydenta mniejsze i większe, odpowiednio do grozy położenia i dawnej stopy życiowej wspomaganego. A jaką delikatność okazywał w wielu konkretnych wypadkach Rutowski, trudno opisać; jak pamiętał o wielu osobach, wydobywał je formalnie, gdy przez innych były zapomniane, jak dyplomatycznie i po przyjacielsku umiał wciskać im zwrotne lub niby-zwrotne zapomogi, których tak bardzo potrzebowali, choć prosić o nie nie potrafili. Pomagał Rutowski wszelkim sferom ludzi, jednym jawniej, drugim mniej jawnie lub całkiem pokryjomu. Przesłane z Warszawy fundusze dla lwowskich techników — rozdał między nich sprawiedliwie, ofiary dzieci warszawskich podzielił między lwowskie dzieci, a typowym już przykładem specyalnej jego ofiarności jest fakt, że nauczycielstwo zamiejscowe, mieszczące się w „Bursie nauczycielskiej“, wprost utrzymywał, dostarczając im wszystkiego w naturze, ubraniach, pieniądzach. Jeszcze w ostatnich chwilach przed swojem wywiezieniem rozdzielił pomiędzy 100 rodzin obcych nauczycieli sześćset kilkadziesiąt rubli w formie zapomóg.

Słuszność dodać każe, że wsparcia udzielane przez Rutowskiego niezawsze szły z funduszów publicznych, którymi rozporządzał. Rozdawał też własne, skromne zasoby, a nieraz zdarzyło się, że w ten sposób „przetrwonił“ całą swoją miesięczną pensyę prezydencką.

Znaną jest szeroko we Lwowie historya bezpłatnego rozdawnictwa „opału miejskiego“, które dzierżyli w swoich dłoniach Stahl i sekretarz Kuźniewicz. Ale inicyatywa wyszła i w tym wypadku od Rutowskiego, i to znów impulsywnie. Opowiadano mi, że pewnego razu ogłoszono w jednym z dzienników, że miasto rozdaje darmo drzewo opałowe. Pogłoska ta była wówczas mylna, ale tak silnie zasuggerowała Prezydenta, że postanowił sobie plotkę zmienić w rzeczywistość. I odtąd już tej myśli nie porzucił! Wiadomo, że ta akcya zapomogowa w drzewie doszła później do kolosalnych rozmiarów: rozdano 15.000-om petentów około 100.000 centnarów drzewa rębanego.

Niczem innem, jak właśnie tylko ogromną zapomogą zwrotną, wyjednaną przez Prezydenta, były — zaliczki urzędnicze, których wypłata, po kilkomiesięcznych uciążliwych pertraktacyach, rozpoczęła się wreszcie w lutym 1915. Powtarzała się ona trzykrotnie, a objęła ogółem wypłatę $^1/_3$ części miesięcznej pensyi za czas od października 1914. do marca 1915., ewentualnie urzędnikom niestałym, tymczasowym, służbie etc., odpowiednich kwot zaliczkowych. Sprawę tę wysunęły same okoliczności, samo rozpaczliwe położenie rzesz urzędniczych i funkcyonaryuszów państwowych; wnet przybrała ona formę piekącego problemu. Zaznaczałem już na początku, że jeszcze w okresie rządów Szeremetjewa wziął sobie Rutowski tę całą sprawę do serca i podjął odpowiednie starania, na razie bezskutecznie. Zabiegi czynione w tym kierunku, ażeby albo rząd rosyjski objął wypłatę tych pensyi, zastępczo za rząd austro-węgierski, albo ażeby zezwolił, za pośrednictwem ambasadora amerykańskiego w Petersburgu, na porozumienie się wprost z rządem austro-węgierskim co do przesłania tą drogą zaległych pensyi, — spełzły na niczem. Moskale swoich pieniędzy dać nie chcieli, a jakikolwiek akt życzliwości rządu austryackiego wobec Lwowian nie leżał w ich interesie. Rutowski kilkakrotnie, zwłaszcza od listopada 1914. wysyła memoryały i przedstawienia do hr. Bobrińskiego, kreśląc w jaskrawych, a jednak zupełnie prawdziwych, barwach tragiczne, wprost katastrofalne, położenie 12.000 urzędników i funkcyonaryuszów państwowych i ich rodzin, co razem dawało olbrzymią cyfrę 40.000 osób; miesięczny ubytek ich pensyi wynosi ogółem $2^1/_2$ miliona koron dla miasta, za cztery miesiące 1914 r. — kolosalną sumę 10 milionów koron. Ludzie ci wysprzedali się już zupełnie, zastawili, co mogli, w lombardzie, obiady jedzą w znacznej części w miejskich kuchniach, ale to wszystko przecież nie może wystarczyć na utrzymanie i ubranie rodzin. A cóż dopiero inne, niezbędne czasem wydatki!

Odwoływał się tedy Prezydent bez ogródek na prawo narodów i konferencyę Haską, wykładał władzom rosyjskim ich naturalne obowiązki wobec ludności okupowanej prowincyi, domagał się w imię ludzkości natychmiastowych środków zaradczych (Cela ne peut durer. C'est cruel. Il faut y remedier. C'est une obligation d'humanité, de droit des gens reconnue). Przedkładał też gotowe wła-

sne projekty i plany. Chciał użyć w tym celu n a r a z i e ogromnych zasobów tytoniu austryackiego, skonfiskowanego przez Rosyan; brakującą resztę miał dopłacić rząd rosyjski. Równocześnie jednak przedstawiał plan na szerszą skalę: utworzenia konsorcyum, w skład którego weszłaby gmina m. Lwowa i najpoważniejsze lwowskie banki, a które wzięłoby na siebie wypłatę odpowiednich zaliczek urzędnikom, naturalnie za oficyalną poręką rządu rosyjskiego, że przy układach pokojowych sprawę tę obejmie i załatwi. Projekt z tytoniem odrzucono, ale i ten drugi plan nie realizował się łatwo. Podobno niektóre banki, ze względu na groźną sytuacyę, stawały okoniem, władze petersburskie przeciągały kwestyę zatwierdzenia, konsorcyum nie mogło dojść tak szybko do zgody na punkcie szczegółów. A jak denerwujące, okropne było wyczekiwanie tych, o których los chodziło, nie da się opowiedzieć. Wszyscy tylko w s e r c u i r o z u m i e Rutowskiego kładli nadzieję... I nie zawiedli się istotnie! Prezydent przeforsował wszystko u Moskali i w łonie samego konsorcyum, do którego, prócz gminy, należały banki: Krajowy, Hipoteczny i Przemysłowy. Nie miejsce tu do przedstawiania finansowej strony tego przedsięwzięcia: udziału poszczególnych członków konsorcyum, zasadniczych punktów interesu, wydania pięknych, artystycznie przez Wygrzywalskiego wykonanych 100-koronowych polskich asygnat Lwowa z widokami miasta, a bez podpisu gubernatora i t. d. Faktem jest — i to bardzo doniosłym — że dzięki inicyatywie, energii i powadze Rutowskiego u r a t o w a n y z o s t a ł b y t k i l k u d z i e s i ę c i u t y s i ę c y l u d z i w c z a s a c h n a j k r y t y c z n i e j s z y c h. Każdy urzędnik otrzymał

trzecią część swej płacy za 6 miesięcy w trzech ratach lub trzykrotną większą zaliczkę, każdy inny funkcyonaryusz tyle, że mógł przecie ratować siebie i swą rodzinę od nędzy! Któż opisze ową radość w smutku, jaka wtedy zapanowała, owo uczucie ulgi, jakie ogarnęło urzędników na myśl, że przecież polepszy się trochę ich dola, bo jest ktoś, kto o nich pamięta.

Charakter wybitnie filantropijny miały jeszcze inne starania i zarządzenia Rutowskiego. On to wyjednał u rządu rosyjskiego przedłużenie moratoryum dla Galicyi, on zupełnie samorzutnie przysądził Magistratowi prawo wydawania zaświadczeń ubóstwa, wstrzymujących zarządzoną już rumacyę, on dbał wraz z niestrudzonym i bardzo zasłużonym wiceprezydentem Schleicherem o stały przyrost „tanich sklepów miejskich“, o wprowadzenie sklepów miejskich z „tanią naftą“, postarał się o stworzenie „Miejskiego Zakładu zastawniczego“ na warunkach wprost dobroczynnych dla ludności, patronował akcyi sanitarnej w mieście, która miała przed sobą jedno z najpoważniejszych zadań (epidemie, szpitale, Czerwony Krzyż, inwalidzi, wścieklizna), on to wreszcie — co jest rzeczą ogromnej wagi — skłonił władze rosyjskie do pewnej działalności humanitarno-aprowizacyjnej, która przybrała pamiętną formę „rozdawnictwa wiktuałów pierwszej potrzeby“ przez Komisye ubogich.

4*

VI.

Troska o austryackich inwalidów i jeńców, wstawiennictwa.

(Co dało impuls do zajęcia się inwalidami? — Dom Inwalidów na Królewskiej. — Inne domy inwalidów. — Opieka i serdeczność wobec nich. — Rutowski a jeńcy austr. — Instancye i orędownictwa. — Wybawienie Legionistów).

Nie byłby jednak Rutowski w naszem przedstawieniu zupełnym, wykończonym, gdybyśmy zapomnieli o ... inwalidach austryackich, jednej z największych trosk Prezydenta. I w tym wypadku impuls uczuciowy dał początek wszystkiemu. Moskale, już po nastaniu zimnej pory, mrozów, poczęli transportować w głąb Rosyi ciężko nieraz rannych lub zaledwie podleczonych inwalidów austryackich. Ci, którzy pozostawali na miejscu, byli w okropnem zaniedbaniu; dochodziły do Prezydenta słuchy, że podobno lekarze moskiewscy pomijają sale z tymi rannymi żołnierzami, że ci ranni nieraz nie dostają po parę dni jedzenia, że wogóle brak im jakiejkolwiek prymitywnej opieki. Najbardziej jednak bolał Rutowski nad tem, że nieludzki wróg wśród trzaskających mrozów wysyła gdzieś za świat, na śnieżne stepy Sybiru, tych, co wskutek swoich ran, swego kalectwa, przestali już być żołnierzami, a są tylko nieszczęśliwymi ludźmi. „Nie ma już do nich prawa żadna władza, żaden urząd, żadne dowództwo armii, jeno ludzkość i tylko ludzkość; a więc tutaj my, miasto, ja w jego imieniu, społeczeństwo. Toż są już inwalidzi-kaleki, choć jeszcze z niewygojonemi ranami, ale nigdy jeńcy“ — tak mówił Prezydent do Dra Bandrowskiego, wtedy, gdy w duszy jego szlachetnej dojrzewało już niezłomne postanowienie przeciwdziałania podobnym strasznym faktom. Szukał tedy Rutowski tylko sposobu, jakby uzyskać od gubernatora „placet“ na to bądź co bądź drażliwej natury przedsięwzięcie. Pewnego razu prosił Bobrińskij (prosił, nie kazał) Rutowskiego, aby mu znalazł pomieszczenie na 18. tysięcy rekrutów rosyjskich, obiecując mu nawet — russką modą — kosztowny prezent za tę przysługę. Prezydent z umysłu przyjął „obietnicę“. Kiedy wreszcie jakimś cudem udało mu się uczynić zadość życzeniu gubernatora i po specyalnej podzięce, miał właśnie otrzymać ów drogocenny prezent, poprosił znienacka o zamianę tego podarku na ... stu ciężko rannych, niezdolnych już do walki żołnierzy austryackich. Ujęty tą wielkodusznością, Bobrińskij zgodził się. Tak powstał „Protektorat nad inwalidami austr.“ i „Dom inwalidów“ przy ul. Królewskiej 7. nazwany słusznie imieniem Tadeusza Rutowskiego. Wykwitł on jak najpiękniejsza krwawa róża z miłosiernego serca Prezydenta, on go stworzył, organizował, urządzał, trząsł się nad nim, jak nad najdroższem dzieckiem, zaopatrywał, choć przyznać trzeba, że i pełnych poświęcenia pomocników i pomocnic miał poddostatkiem. W instytucyi tej swojej ukochanej kazał otoczyć żołnierzy, bez różnicy narodowości i wyznania, najskrupulatniejszą opieką lekarską i pielęgniarską, urządzić salkę operacyjną i zapewnić inwalidom, właśnie po operacyach, największy spokój i dobrobyt. Nie tylko utrzymywał ich i ogrzewał kosztem gminy, ale własne wino, bulion, łakocie, papierosy posyłał im i osobiście rozdawał. „Doktorze, mówcie tylko szczerze, czy

im czego nie brak", pytał stale zarządzającego lekarza.

W ślad za tą pierworodną, idą dalsze podobne instytucye, tworzone z woli Prezydenta przez „Protektorat". A więc Domy inwalidów: w „Lidze Przemysłowej" przy ul. Pańskiej, w pałacu hr. Siemieńskich przy Piekarskiej, u OO. Zmartwychwstańców (później objęty po Czerw. Krzyżu), nakoniec u Sióstr Miłosierdzia przy ul. Teatyńskiej. Na opatrunkach, wacie, środkach dezynfekcyjnych Domom tym nigdy nie zbywało, gdyż Rutowski albo je zakupywał, albo umiał wydobyć w dostatecznej ilości od rosyj. Czerwonego Krzyża dla „swoich inwalidów"; nieraz robiło się to per fas et nefas. Było zaś tych inwalidów razem około 450.

Uroczystemi bywały chwile odwiedzin Prezydenta w wymienionych wyżej zakładach, a uroczystości te zdarzały się dosyć często. Przychodził, oglądał wszystko i kontrolował szczegółowo, rozmawiał łaskawie z żołnierzami, pocieszał, obdarowywał, jak prawdziwy ojciec. Opuszczał sale, żegnany westchnieniami i błogosławieństwem nieszczęśliwych. Często w jego zastępstwie odwiedzali inwalidów wiceprezydenci, odnosząc się do nich z taką samą wylaną serdecznością i szczodrobliwością. Przykład Rutowskiego promieniował zresztą na szerokie koła społeczeństwa bez różnicy sfer. To też panie nasze z arystokracyi i wyższej inteligencyi, klasztory, stowarzyszenia, ludzie najrozmaitsi, aż do prostaczków, przychodzili tu ciągle z podarkami, łakociami, książkami, byle tylko naszym bohaterskim żołnierzom nie brakło dobrego pożywienia i rozrywki. Na Święta obdarzył Prezydent inwalidów ciepłymi kocami i derkami,

posłał im własne wino, tak, że sam ujrzał się nagle bez wina dla gości; poza tem stale dodawał do utrzymania (którem zajmowała się aprowizacya) pieniądze na lepszy wikt i pośledne przyprawy.

Ostatnie jego słowa, jakie wyrzekł na odjezdnem, wychodząc pod eskortą z Ratusza, były chyba nie przypadkowo o inwalidach: „Pamiętajcie, aby się inwalidom moim nic złego nie stało". Nikogo z najbliższych nie zostawiał we Lwowie; rodzina była za granicą, syn walczył w Legionach; więc ci ranni żołnierze byli mu najbliżsi.

Niemniej pamiętał też Prezydent o jeńcach austryackich, których tu Moskale sprowadzali celem transportowania ich w głąb państwa rosyjskiego. Do szpiku kości przejmujący był to niekiedy widok, jakby z martyrologii Grottgerowskiej wyjęty, gdy setki tych ludzi, napół zmarzniętych, wygłodniałych, poobdzieranych po drodze z ubrania i pieniędzy, prowadzono przez ulice Lwowa, pod strażą nahajek i długich pik kozackich; jak wilki zgłodzone rzucały się te cienie ludzi na podawaną im żywność lub papierosy, wydzierano sobie to wszystko nawzajem, szarpano się i bito o kęs chleba, pod razami i cięgami półdzikich posiepaków. I to było srogiem ukłóciem w miłosierne serce opiekuna inwalidów. Łagodził, jak mógł, los jeńców, trzymanych w naszem mieście, posyłał im środki spożywcze i bieliznę, wielu, bardzo wielu uwalniał swojem wstawiennictwem u władz. Ci, którzy z blizka patrzyli na działalność Rutowskiego, wiedzą, ile to wytwornych, usilnie proszących listów poszło do hr. Bobrińskiego i jego zastępcy, Połowcewa, w sprawie uwolnienia jeńców, niewinnie aresztowanych i więzionych obywateli lwowskich i pozalwowskich, lu-

dzi niesłusznie podejrzywanych, czy zadenuncyonowanych, oficerów i wojskowych austryackich. Z tymi ostatnimi była sprawa wcale głośna. Wojskowość rosyjska, kazawszy się pod rygorem prawa wojennego zgłosić wszystkim czynnym, rezerwowym i emerytowanym wojskowym austryackim, postanowiła wywieźć ich do Rosyi. Na instancyę Prezydenta pozostawiono ich zrazu na miejscu. Później atoli wskutek fałszywych denuncyacyi (o porozumiewanie się ukrytym telefonem z austr. armią) i wskutek dwuznacznej dla Moskali sytuacyi wojennej stanęło na tem, że oficerowie, zwłaszcza starsi i poważniejsi, tacy, których państwo austryackie mogłoby potrzebować — mieli być transportowani na Wschód. Los ten miał również dotknąć — niewiadomo, quo iure — wielu ludzi starych, chorych, wysłużonych oficerów, nieraz 70-cio, 80-cio letnich, którzy z polityką i wojną nic już nie mogli mieć wspólnego. Rutowski wystąpił przeciwko temu barbarzyńskiemu zarządzeniu i rzeczywiście niektórych uratował w ten sposób od pewnej śmierci, czy ciężkiej choroby; ale nie z wszystkimi mu się to udało, tak że wielu, nawet zgrzybiałych starców, wywieziono z kraju. Do Prezydenta również zgłosili się jeszcze z początku, sanitaryusze austryaccy, prosząc go, aby wyjednał u władz rosyjskich zatrzymanie ich przy szpitalach lwowskich; groziło im bowiem zesłanie. I w tym wypadku przedstawienia Rutowskiego u gubernatora nie pozostały bez pożądanego skutku. A ileż osób cywilnych wyrwał on z za krat więziennych, wyzwolił od okropnej drogi etapami na Sybir; zapewne niejeden z tych, co tę książeczkę wezmą do ręki, należał do ocalonych przez wielkie serce Prezydenta. Względy na narodowość, na wyznanie, nie odgrywały tu żadnej roli!...

Znano tę gotowość i potęgę orędowniczą Rutowskiego wszędzie, to też nawet z dalekiej prowincyi przychodziły nieraz supliki z prośbą o przyczynienie się za kimś, za ojcem, za synem, za bratem. A Prezydent pisał, jeździł, prosił, alarmował dygnitarzy moskiewskich i najczęściej nie po próżnicy.

Wiadomo także, choć się Rutowski przed nikim z tem nie pochwalił, że jego to usilne prośby, by nie rzec błagania, wyrwały z objęć śmierci, niedługo po inwazyi, młodzieńcze żywoty kilku naszych Legionistów, czy jak inni mówią, skautów. Mieli oni już paść ofiarą zawziętości i dzikości rodaków Murawiewa i Nowosilcowa.

Na tym posterunku swoim obrończym wytrwał Rutowski do końca. Za parę godzin już jego samego miano porwać, a on jeszcze tej ostatniej, tragicznej nocy wstawiał się u uciekających władz za wywożonymi radnymi miasta i zasłużonym archiwaryuszem, Drem Czołowskim.

VII.

Opieka nad zabytkami i sztuką.

(Ocalenie obrazów w Sejmie. — Straż nad Galeryą miej. i innymi zbiorami. — Popieranie czynności konserwatorskich. — Salon Sztuki Sokołowskiego. — Wspomaganie artystów).

Osobną kartę w dziejach zasługi Prezydenta stanowią wreszcie skuteczne zabiegi Rutowskiego około ocalenia dzieł sztuki i zabytków historycznych Lwowa i wogóle około podtrzymania uszlachetniającego wpływu sztuk plastycznych

w okresie tak bardzo potrzebującym dodatnich podniet. Chodziło mu zresztą i o udzielenie materyalnej pomocy mocno biedującym artystom. Co do pierwszego punktu, to on to stawia się opornie, i to w sposób bardzo stanowczy, gdy Moskale, niby to z obawy przed rzekomymi „niszczycielskimi zapędami Austryaków i Niemców“, chcieli wywieźć ze Lwowa „Unię Lubelską“ Matejki i wspaniałe portrety marszałków (pędzla Rodakowskiego, Siemiradzkiego, Pochwalskiego) z Sali Sejmowej. Dla wszelkiego bezpieczeństwa chciano je umieścić w ... Ermitażu. Wówczas to Rutowski „zaręczył, że je dobrze skryje“, nałożył na nie pieczęci miasta i wziął je pod miejską opiekę. Zachowanie jego było tego rodzaju, że jakoś nikt się nie sprzeciwił. Zemsta moskiewskich mecenasów sztuki ograniczyła się tylko do tego, że kazano prystawowi zdjąć pieczęcie miasta, a nałożyć rosyjskie. Obrazów ze Sejmu Prezydent nie ukrył, ale schował za to pod ziemię inne dzieła sztuki, które z pewnością nie byłyby uszły losu, jaki spotkał niedawno skarby Zamku i Łazienek warszawskich. Mówię o cennych pracach malarskich i innych artystycznych, znajdujących się w Galeryi miejskiej. Wszystko to, odpowiednio opakowane, znalazło nieprzejrzaną kryjówkę w podziemiach piwnic Muzeum Przemysłowego. Galeryę zamknięto, a nieliczni intruzi rosyjscy, którzy par force dostali się do wnętrza, znaleźli tam tylko mało wartościowe dzieła drugorzędnych mistrzów. Prezydent pragnął za każdą cenę ocalić to, co własnem umiłowaniem, ciężkim trudem i męczącą walką z uprzedzeniami zebrał i nagromadził.

Jemu to i Drowi Czołowskiemu udało się również zachować w całości pyszne zbiory polskich starożytności w Muzeum Sobieskiego w Rynku i nabyte przez miasto zbiory Wł. Łozińskiego przy ul. Ossolińskich; wraz z Muzeum Sobieskiego uratowano masę cennej broni antycznej i zbytkownej, którą tam w dzień okupacyi, na rozkaz gen. Rohdego, mieszkańcy Lwowa złożyli. Były to istne skarby! Odmiennego losu doczekał się, jak wiadomo, olbrzymi zapas zwykłej broni, siecznej i palnej, złożonej w ten sam dzień w Ratuszu; zostało to wszystko zarekwirowane przez wojskowość rosyjską, rozkradzione mimo protestów Prezydenta, przez poszczególnych oficerów.

Z ramienia Rutowskiego poszła także konserwatorska działalność Dra Czołowskiego na prowincyi, dzięki której uratowano i zwieziono do Lwowa tak świetne i wprost nieoszacowane zbiory, jak Orzechowicza w Kalnikowie pod Przemyślem lub książąt Sapiehów w Krasiczynie. Uratował wreszcie Prezydent i opieczętował Archiwum Namiestnictwa Galicyjskiego.

Mecenat artystyczny Rutowskiego, w najszlachetniejszych celach praktykowany w czasie inwazyi, uzewnętrznił się najlepiej w inicyatywie do założenia Salonu Sztuki przy ul. Akademickiej, (stworzonego przez St. Sokołowskiego). W ten sposób zdobyła brać artystyczna doskonałe miejsce wystawowe i miejsce zbytu, gdyż salon ten, prowadzony bardzo umiejętnie, zasilany przez Prezydenta darmo opałem i światłem, pełen był zawsze gości rosyjskich, lubujących się w malarstwie i nieliczących się z monetą. Rutowski był tutaj także codziennym gościem, a powóz jego, wyczekujący przed Salonem, dobrze był znany wielbicielom „korsa“; zawsze wieczorem, po ciężkiej pracy dnia, przyjeżdżał do swoich Artystów,

spędzał tu nieraz długie godziny na oglądaniu dzieł sztuki i konferencyach z malarzami, których kółko było mu tak blizkie. Nawet, ilekroć wybierał się na dłuższą przejażdżkę na ulubiony Plac Powystawowy, nie zapominał o salonie na Akademickiej i wpadał tu choćby na chwilę.

Ale nie kończyło się na odwiedzinach. Rutowski był także wytrawnym doradcą i inspiratorem w sprawach artystycznych i najbardziej pożądanym nabywcą. Kochająca go całą duszą gromadka malarzy marzyła tylko o tem, by „kupił" Prezydent, nie ze względu na dochód, a przedewszystkiem na osobę nabywcy, wytwornego estety i doświadczonego znawcy, a dostojnego opiekuna stolicy. Kupował też Rutowski wiele rzeczy nowych i dawniejszych, o ile się trafiały, częściowo dla Galeryi (w miarę skromnych funduszów), głównie dla siebie i swej rodziny. Dla Galeryi nabył podobno między innemi jakąś pracę Grottgera i drugi cenny zabytek malarstwa niemieckiego w Polsce. Z malarzy współczesnych, bawiących wówczas we Lwowie, żaden nie może się skarżyć na Prezydenta. Nie było prawie wizyty, aby Rutowski czegoś nie nabył. Kilkadziesiąt dzieł sztuki, większej i mniejszej wartości, znalazło w ten sposób w Prezydencie tak pożądanego kupca. Czy zawsze tylko względy estetyczne nim kierowały, czy nie przeważał czasem motyw filantropijny, — pozostanie to już jego tajemnicą. Kupował tutaj również Prezydent niekiedy stare srebra i sprzęty artystyczne, które wojenny niedostatek domów polskich wystawiał na licytacye.

VIII.

Skupiająca i pocieszycielska działalność Rutowskiego.

(Depresya. — Rozprószenie duchowe. — Dom Prezydenta ogniskiem dobrej nadziei. — Konferencye. — Przyjęcie Noworoczne i manifestacya. — Święcone u Prezydenta).

Pozostaje jeszcze słowo o skupiającej, jednoczącej roli Rutowskiego, która miała wielką doniosłość w sferze duchowych zmagań się i udręczeń nieszczęśliwych mieszkańców Lwowa. Gromadzić się nie było wolno; wszelkie prywatne zebranie (o publicznych nie było mowy!), wszelka liczniejsza pogawędka ściągała zaraz na siebie szpiegowskie oko policyi rosyjskiej i ochrany. W ślad za tem szły represye. Przy wspólnych obiadach w kuchniach miejskich trzeba było z każdem słowem być ostrożnym, gdyż podłej gadziny szpiegów nigdzie nie brakło. Licząc się z tem, kazał nawet później Prezydent poumieszczać na ścianach tych instytucyi „hygieniczne" ostrzeżenie, że przy jedzeniu niezdrowo bawić się rozmową.

Było nas tu ze sto kilkadziesiąt tysięcy, a żyliśmy w rozsypce i rozprószeniu, usta mając zamknięte na siedm pieczęci, w myślach jedynie wolni i ustawicznie się buntujący.

Rozumiał Rutowski ten stan nie do zniesienia i przynajmniej w części starał się temu zaradzić. Pragnął zbierać u siebie w pewnych stałych terminach ludzi wpływowych w rozmaitych kołach społeczeństwa i mogących na te koła oddziaływać — na wspólne konferencye o sprawach ogólnych i miejscowych. I istotnie myśl tę urzeczywistnił. Na konferencye niedzielne do Prezy-

denta przybywali obaj arcybiskupi, przedstawiciele arystokracyi i wszystkich prawie polskich stronnictw, wreszcie pewnych instytucyi i zawodów i tu w kilkanaście osób radzono, informowano się wzajemnie, obmyślano środki zaradcze przeciwko niebezpieczeństwom chwili, umacniano się na obranych drogach postępowania. Z tych zebrań przedostawały się następnie poszczególne myśli, wiadomości, wskazówki do szerszego ogółu.

Kiedy srogi gradonaczalnik Eiche zasystował czynności Rady miasta Lwowa, Rutowski, aby być czystym w swem sumieniu autonomisty i w poczuciu odpowiedzialności przed obywatelstwem stolicy, nie zrywa bynajmniej stosunków z instytucyą Rady, sprasza radnych od czasu do czasu do siebie i w przyjacielskiej rozmowie zdaje im relacye z czynności „wszechwładnego“ Prezydyum. W ten sposób wogóle, pod formą towarzyskich zebrań, stworzył Rutowski ośrodek jakiegoś współmyślenia i współdziałania o wybitnie społecznym charakterze — w czasach ciężkiej depresyi i ograniczeń.

Mimo ogólnego przymusu kagańcowego, bywały jednak chwile, że porozumienie się społeczeństwa lwowskiego z swoim opiekunem i obrońcą stawało się uczuciową koniecznością, której już żadne „prikazy“ i podglądania ochranników nie były w możności powstrzymać. Fala wdzięczności, długo w cichości gromadzona, wzbierała z taką mocą, że przy nadarzonej sposobności musiała się uzewnętrznić odpowiednim gestem i słowem. Imieniny Prezydenta, 28. października 1914., w czasie największego fermentu wypadków, przeszły dosyć cicho. Chyba tysiące biletów, złożonych Rutowskiemu, świadczyły o co-

raz zacieśniającym się związku między miastem a jego istotnym naczelnikiem. Ale przyjęcie Noworoczne u Prezydenta stało się już w całem tego słowa znaczeniu manifestacyą. Zgoła bez żadnych zaproszeń cały Lwów w reprezentantach swoich ściągnął do apartamentów Rutowskiego. Grupy ludzi, politycznie czy umysłowo różniące się od siebie, stanęły w jednym rzędzie, aby oddać hołd Męstwu i Zasłudze. Widziałeś tam fiolety książąt kościoła i wysokiego duchowieństwa obok czarnego tradycyjnego stroju żydowskich rabinów, arystokracya obojga płci stanęła obok inteligencyi wszelkich kategoryi, sfer urzędniczych, mieszczańskich, nauczycielskich, przemysłowych, handlowych. Przybyły delegacye kuchni miejskich z adresem, Związek Rodzicielski z adresem od ochron i przytułków, nakoniec i ukochani inwalidzi Rutowskiego wystąpili z osobnym adresem, na którym widniały podpisy żołnierzy wszelkich możliwych narodowości, Polaków, Rusinów, Węgrów, Rumunów, Czechów, bo wszyscy oni jednakowo serdecznie przywiązali się do naszego Prezydenta. Prawdziwie rozczulającym był moment, gdy trzej rabini żydowscy, pochyliwszy się do nóg Rutowskiego w nizkim pokłonie, chcieli go ucałować w kolano i ze łzami w oczach chóralnie wyrzekli słowa: „Dziękujemy Ci, Panie, za nasze życie“. Imieniem całego miasta przemówił wówczas wiceprezydent Stahl, a była to z pewnością jedna z najszczerszych i najlepszych mów, jakie kiedykolwiek na lwowskim ratuszu wypowiedziano. Mówił on o ciężkich chwilach przeżytych i położeniu, zdawało się, bez wyjścia, o objęciu rządów przez Rutowskiego, jego znakomitej oryentacyi i szalonej pracy i płomiennym patryotyzmie i nieustępliwej obronie godności pol-

skiego grodu, dawał wreszcie wyraz powszechnemu uwielbieniu i hołd składał od całego społeczeństwa, a zwłaszcza od Reprezentacyi miejskiej i podwładnych Prezydentowi urzędników. Treść naturalna i innej trudno się było spodziewać. Ale czuło się po wielkim a niekłamanym patosie, po niehamowanem wzruszeniu mowcy, po utajonej rytmice głębokiego milczenia, jakie zaległo naokół, po łzach, co w każdem prawie zabłysły oku, — że w tej mowie każde słowo osiągnęło swój istotny, wewnętrzny walor, że tu wszystko jest prawdą bezwzględną, a nic dla frazesu, dla okrasy, dla okolicznościowej powinności. To nie była przemowa jednostki, a poważna enuncyacya ogółu, dokument pierwszorzędny historycznego momentu, istotą tego momentu uwarunkowany. Potem zabrało głos mieszczaństwo Lwowa i przez usta radnych Lewickiego i Ohlego złożyło ślubowanie, niewątpliwie należne ideowemu spadkobiercy Groswajerów i Zimorowiczów: „Przy Tobie, Panie, trwać chcemy, trwać będziemy".

W odpowiedzi mieszczaństwu, wygłosił Rutowski doniosłą swą mowę „noworoczną", pełną niepospolitych myśli i tak bardzo krzepiącą ducha:

Mieszczaństwo lwowskie było zawsze sercem tego miasta i Rzeczypospolitej, Lwów był zawsze „pomnożycielem polskości", a głęboki jego patryotyzm i ofiarność dla Ojczyzny uznali królowie polscy, obdarzając mieszczan lwowskich szlachectwem. I dziś mieszczaństwo lwowskie godne jest swych przodków, wysoko niesie swój sztandar narodowy; odważnie oraz jasno patrzy w przyszłość. Nie straszne mu troski i kłopoty wojny, nie straszne ani jej ciężary, nie straszne nawet bole serca boć przecie niema prawie domu, aby

czyjeś miejsce już od miesięcy puste nie raniło duszy wyczekującej. Wiara w powrót nieobecnych, wiara w lepszą przyszłość krzepi te serca. Więc wierzmy i ufajmy! Nie wolno nam poddawać się pesymizmowi. Niech serca zwątpiałe rozpromieni miłość, ta miłość, zrodzona na ołtarzu krwawych poświęceń, których straszne dzisiaj nikomu nie szczędzi. Trzeba, aby miłość Polski i jasna wiara w jej jutro stały się towarzyszkami naszych dni. Mieszczaństwo lwowskie zawsze Polskę w swem sercu nosi, za wiarę w jej przyszłość i zmartwychwstanie przelewało krew swą ofiarną, zawsze gotowe było na każde zawołanie Ojczyzny, aby bronić tej kresowej ziemi polskiej. Nie brakło nigdy mieszczaństwu naszemu wiary twardej jak skała, wiary w wielkie posłannictwo naszego narodu i dlatego też mieszczaństwo lwowskie mimo wszelkie zmiany rządów, mimo wszelkie opinie władzy, naczelników, mimo burzę wojenną i krwi strugi, mimo prośby i groźby, mimo głaskania i szykanę, obietnicę i odmowę — pozostanie zawsze polskie, zawsze ofiarne, a miasto to, kresowy gród polski i tylko polski, pozostanie na zawsze, jak był dotąd, „pomnożycielem polskości". Cześć więc należy się mieszczaństwu lwowskiemu, temu czujnemu strażnikowi polskości na kresach naszej Rzeczypospolitej, cześć jego patryotycznej ofiarności na cele narodowe, a otuchą dla nas niech będzie jego wiara niezłomna w przyszłość naszą, jego stwierdzenie czynem, że tu, na tej ziemi, w tym grodzie kresowym Polska zawsze była, jest i będzie! (Długotrwające frenetyczne oklaski).

Nastąpiło wręczanie adresów i przemówienia reprezentantów innych kół. Podpisywanie pamiątkowej księgi tego dnia przez wszystkich obecnych,

oraz długa serdeczna, pierwszy raz naprawdę nieoglądająca się na nic pogawędka zakończyła uroczystość.

Takim wylewem serdeczności, taką manifestacyą zupełnego porozumienia się, takim nierozerwalnym ślubem serc mieszkańców Lwowa z czującem za wszystkich sercem nieustraszonego Włodarza rozpoczął się rok 1915-ty!

Podobnie odruchowy, żywiołowy charakter miało też wielkanocne Święcone u Prezydenta. Znów zeszli się wszyscy ci sami, ale mów już nie było, z przyczyn pod rządami rosyjskimi zawsze zrozumiałych. Władze z góry się w tym kierunku zastrzegły; manifestacye zbyt wyraźne były im nie na rękę. W dużo mówiącem milczeniu ściskano kolejno prawicę Rutowskiego i w ciszy zajęto miejsca przy stołach. I rozpoczęły się tajemne, szeptane rodaków rozmowy. Trudno zapomnieć białą, pańską głowę Rutowskiego z pogodnym uśmiechem na twarzy, a wielką troską na czole, gdy wprowadzał wówczas na salę smutne, siwizną wojennych miesięcy sprószone, postacie biskupów... Trudno zapomnieć tę słodką dobroć, z jaką zwracał się do każdego z najmniejszych swych gości, to ciepło, jakie szło od niego na obecnych i tę ufność, jaką oczy zebranych nawzajem ku niemu wysyłały...

IX.

Drugie ocalenie Lwowa. — Porwanie Rutowskiego.

(Na posterunku. — Pomoc Rutowskiego w najcięższych opresyach. — Zabezpieczanie miasta w razie odwrotu. — Ostatnia noc. — Deportacya i wrażenie, jakie wywarła. — Kult Rutowskiego).

Do ostatka pracował Rutowski niezmordowanie, na wysokiem stanowisku, zdobytem własnym trudem i ustawicznem zmaganiem się z przemocą wroga. Bronił polskich placówek i polskiego ducha narodowego, żywił rzesze, zasłaniał miasto i ludzi przed nieszczęściem. Gdy sytuacya Moskali stała się beznadziejną, gdy czynownictwo uciekało dniem i nocą, a Lwów znalazł się znowu w obliczu katastrofy, wydany prawie na łup cofających się chmar sałdatów i rozbestwionego Kozactwa — R u t o w s k i b i e r z e p o n o w n i e n a s i ę r o l ę r a t o w n i k a s t o l i c y. Jego wysoka, imponująca nieprzyjacielowi powaga i nieustanne zabiegi, oraz takt hr. Szeremetjewa (powtórnie wojennego gubernatora Lwowa), który Rutowskiego zawsze tak wysoko cenił, ocaliły Lwów od zniszczenia, chociaż nie obyło się bez srogich pohulanek, rabunków i nadużyć.

W tych to dniach ostatnich, — których niesamowity, przygniatający nastrój tak żywo przypominał początek września 1914., — z prawdziwym podziwem musiało się patrzeć na rozum, przytomność umysłu i spokój Prezydenta. Kiedy władze rosyjskie, jeszcze za Bobrińskiego, wydały dwuznaczny „prikaz“ przesiedlania się do gubernii wołyńskiej dla wszystkich mężczyzn w wieku od

18-50 lat, grożąc nieposłusznym przymusową deportacyą, — Rutowski radzącym się go w tej sprawie odpowiada wymownem milczeniem, a równocześnie czyni niestrudzenie starania, by urzędników Magistratu i wiele innych osób, na wszelki wypadek, od tego okropnego losu wyzwolić. Ileż to pism, wykazów, list poszło w tej sprawie do Gubernium, ile razy osobiście interweniował Prezydent u pakującego się na gwałt wielkorządcy!

I podobnie, jak dawniej w czasie trwających tygodniami ulicznych połowów na ludzi, napastywań, nieuzasadnionych aresztowań, pociągania wszystkich bez wyjątku do kopania szańców — wstawiennictwo Rutowskiego uwolniło setki ludzi od prześladowań i mąk, — tak i teraz, na wszelkie możliwe sposoby, ratuje Prezydent tych, których czekała nieporównana z niczem „droga do Rosyi".

A poza tem? Pomnaża znacznie i rozmieszcza placówkami w różnych stronach miasta Straż pożarną, ażeby bronić ukochanego grodu przed pożogą, którą uciekający wróg co chwila gdzieindziej niecił, by z dymem puścić miasto. Gdy policya rosyjska zabiera się ze Lwowa — przywraca Prezydent na nowo i reorganizuje dawną Straż Obywatelską, by w odpowiedniej chwili powierzyć jej czuwanie nad miastem. Sam czuwa też nad nienaruszalnością niezbędnych instytucyj miejskich, jak zakład wodociągowy, gazownia, elektrownia. Jeszcze w nocy z 19 na 20-go czerwca, pamiętnej nocy odwrotu Moskali, gdy żywa dusza nie śmiała wychylić się na ulice, obsadza miasto strażą akcyzową i pierwszymi oddziałkami Straży Obywatelskiej, rozmieszcza je z pomocą radcy Platowskiego po ważniejszych budynkach rządowych, zakładach

miejskich, instytucyach naukowych, z bronią w ręku, by stawiały opór rabusiom i podpalaczom. Do świtu oka nie zmrużył, wydając telefonem dyspozycye, interweniując w sprawie porywanych nocą zakładników i „niebłagonadiożnych".

Łatwo wobec tego pojąć tragiczną grozę chwili, gdy nazajutrz, w niedzielę, 20 czerwca, spadła na miasto przerażająca wiadomość: „Wywożą Prezydentów". Jako czarny ptak nieszczęścia, była ta pogłoska, której nikt wogóle, nawet sam Rutowski, się nie spodziewał. „I Rutowskiego?" pytał każdy bez wyjątku, jakby mu powiedziano rzecz nie do wiary, a straszną. I nic, doprawdy, nie było takim dowodem miłości i uwielbienia, jakie zdobył sobie wielki ów obywatel, jak zapłakane twarze urzędników Magistratu, gdy żegnając się z Prezydentem, stali bezradni, złamani, zdecydowani na wszystko, wprost nieprzytomni z rozpaczy. I nigdy nie będzie można zapomnieć tych bladych, wylękłych, głęboko wzruszonych gromad prostych ludzi, wpatrzonych nieruchomo przez dwie godziny w okna Prezydenta, w chwili, gdy ten spokojny i wyniosły gotował się do odjazdu, a groźnie najeżona pikieta kozacka przykucnęła u bram Ratusza. A przerażone, utajonej nienawiści pełne, oblicza nielicznych przechodniów, spoglądających długo, długo za tym smutnym, historycznym orszakiem, w którym rotmistrz Gmelin eskortował na Podzamcze Tadeusza Rutowskiego i jego dzielnych towarzyszy.. A ta żałość nasza ogólna i współczucie dla wielkiego naszego opiekuna i uczucie pustki, osamotnienia, jakby bezbronności zupełnej wobec wroga i losu... Porwano pasterza z pośrodka owczarni, przewodnika z pośród bezdrożnych pielgrzymów —

takie były analogie, nasuwające się wszystkim w onej chwili.

W radosnych nad wyraz momentach odzyskania Lwowa, wkroczenia zwycięskich naszych wojsk, czuliśmy brak tego, który przez ciężkie miesiące najazdu i niewoli był nam prawdziwym ojcem, obrońcą, pocieszycielem... Czuliśmy jaką wyrządzono jemu i nam krzywdę, nie pozwalając mu wspólnie z nami przeżyć tych chwil, które i dla niego byłyby największym tryumfem, największą radością. Ale też odtąd nie było okoliczności, nie było zdarzenia ogólniejszej natury, nie było zebrania, aby nie myślano i nie mówiono równocześnie o Rutowskim; jego wizerunki znajdują się dzisiaj w każdym lwowskim domu, w każdej polskiej instytucyi. Kult Rutowskiego przybiera coraz bardziej na szerokości i mocy.

X.

Dlaczego czcimy Tadeusza Rutowskiego?

(Ogólna charakterystyka. — Analogie).

Bo i czy nie dosyć powodów do takiego kultu?

Objąwszy rządy miasta w pełnej grozy dziejowej chwili, trwał Tadeusz Rutowski niezłomnie na niebezpiecznym posterunku, z rycerską nieustępliwością i niepokalanym honorem tocząc walkę ustawiczną o polskość Lwowa. Ciałem własnem zastawiał miasto i jego mieszkańców od wymierzonych ciosów, ratował, ocalał, wyrywał na pół straconych. Czujące jego, obywatelskie serce słało pęki ożywczych promieni swej dobroci i prawdziwie ojcowskiej życzliwości w olbrzymiej akcyi filantropijnej, humanitarnej, żywicielskiej i jałmużniczej.

Jeden mąż, jeden „vir bonus" w starorzymskiem tego słowa znaczeniu, stojący duchem u szczytów człowieczeństwa, potrafił zestrzelić dusze innych w jedno ognisko wokoło siebie i żarem swojej waleczności, swojej miłości Ojczyzny, swoich nigdy niegasnących nadziei lepszego Jutra rozgrzać serca zbolałe, wątpiące i niehartowne. Charakter czysty, jak łza, rozum wielki i doświadczony, zdolności polityczne pierwszorzędne — budziły respekt i podziw u wroga, przywiązanie i miłość synowską u swoich. Wyższy ponad zawiści i uprzedzenia kastowe, partyjne i wyznaniowe, Polak-demokrata z krwi i kości, spadkobierca wielkich haseł Romanowicza, Asnyka i Szczepanowskiego — jako posąg granitowy z jednej bryły stanął u wrót Lwowa i nie wpuścił do jego duszy moskiewskich trucicieli i deprawatorów. Dzięki jemu ocaleliśmy dla Polski i dla naszych rodzin. I jeśli komu, to jemu winien dać Naród wielki medal za waleczność w obliczu wroga, i jeśli komu, to jemu, prawemu, ideowemu potomkowi Kampianów, Łąckich i Zimorowiczów, należy się posąg z napisem „Patri urbis" i symboliczna, w kamieniu wykuta, postać nieustraszonego lwa, jako Lorencowiczowi, „quod cives salvavit".

DODATEK.

Do Jaśnie Wielmożnego Pana Dr. Tadeusza Rutowskiego.

Z najgłębszem wzruszeniem ośmielamy się korzystać z uroczystości Nowego Roku, aby JWPanu Prezydentowi złożyć nietylko nasze najserdeczniejsze życzenia noworoczne, ale przedewszystkiem wyrazić naszą najgłębszą wdzięczność za Jego wzniosłe współczucie, za Jego hojną ofiarność, za Jego miłościwość dla nas biednych, losami wojny tak unieszczęśliwionych inwalidów.

Zdala od naszych rodzin, od naszych miejsc ojczystych, kalecy, bez pomocy, ni przytułku, znaleźliśmy to wszystko w stworzonym przez JWPana „Miejskim Domu Inwalidów we Lwowie“ przy ul. Królewskiej l. 7. i to w takiej mierze, w jakiejby nam tylko własna ojczyzna ofiarować mogła.

To też niezapomniane nigdy dnie i tygodnie, przeżywane w tym serdecznym przytułku, złożyły się na niewypowiedziane uczucie najgłębszej wdzięczności i najwyższej czci dla JWPana, jako gospodarza stoł. król. miasta Lwowa, jako przedstawiciela szlachetnego narodu polskiego.

Z pełnych przeto piersi wznosimy dziś okrzyk: „Niech żyje JWPan Prezydent dr. Tadeusz Rutowski“, „Hoch“, „Eljen“, „Na zdar“, „Živio“, „Eviva“, „Trejaske“, „Slava“, „Vivat“, „Mnohaja lita“. Z okrzykiem tym spodziewamy się — da Bóg — niezadługo powitać ojczyste nasze strony, aby go wszędzie tam przekazać naszym rodzinom w najdalsze pokolenia ku wiecznej pamięci o szlachetnej, wielkodusznej dobroczynności JW. Pana.

Lwów, dnia 1. stycznia 1915.

(Adres Inwalidów na Nowy Rok, po polsku i niemiecku).

Księgarnia Józefa Chęcińskiego

we Lwowie, ul. Rutowskiego l. 2.

ma na składzie:

Pamiętniki Ks. Arcyb. Felińskiego od r. 1822 — 1883. 2 tomy . . . . K 10·—

STEFAN GRALEWSKI. — **Ironia Śmierci (nowele)** . . „ 3·40

JAROSŁAWSKI. — **Skazaniec** . . . . . . „ 2.80

ARTUR SCHRÖDER. — **Ostatni Hamlet** . . . „ 5·—

ZORJAN. — **Warneńczyk (powieść historyczna)** . . „ 4·—

— **Miłość Królewska (powieść historyczna)** . . „ 4·—

WYDAWNICTWO KSIĘGARNI

H. Altenberg, G. Seyfarth, E. Wende i Ska

Lwów, (Hotel Georgea).

STANISŁAW ROSSOWSKI. **Lwów podczas inwazyi.** W oprawie . . . . K 4·80

Lwów chlubnie przetrwał okres ciężkiej próby inwazyi. Nie ugiął się, nie spodlił. Nie wiedzieliśmy sami, że ten gród wykaże w sobie dość siły, aby przetrwać to co się przetrwało. Tu toczyły się walki, jakkolwiek bezkrwawe, — walki o egzystencyę materalną, o podtrzymanie ducha, o ocalenie honoru miasta. Jak one przedstawiały się — nie w wielkim swym obrazie, lecz rozbite na szereg drobnych zmagań, zwłaszcza z trudnościami życia codziennego, zapisane zostało w tej książce. W książce umieszczono szereg rycin, odbitych na kredowym papierze, według aktualnych fotografii.

Odezwy i rozporządzenia z czasów okupacyi rosyjskiej Lwowa. 1914 — 15 . . . . K 3·—

Dziełko to zawiera odezwy w zmiejszonych fotograficznych reprodukcyach. Mowa tych pism ulotnych, stanowiących już dzisiaj rzadkości bibliograficzne, zawiera już sama w sobie sporą część historyi miasta i kraju, odzwierciadla program system rządów rosyjskich, tak zupełnie sprzecznych z hasłami, pod któremi armia rosyjska wkraczała do Lwowa.